

Rutowski, Tadeusz

Historia mojego powołania do kapłaństwa : wspomnienia

Studia Płockie 41, 11-39

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Tadeusz Rutowski

HISTORIA MOJEGO POWOŁANIA DO KAPŁAŃSTWA. WSPOMNIENIA

Wprowadzenie

W dniu moich 74 urodzin, w roku mojego złotego jubileuszu kapłaństwa, rozpoczęła się nagle poważna choroba. Kiedy wstałem rano w niedzielę 18 maja 2003 r., stwierdziłem, że trudno jest mi utrzymać się na nogach. Potrzebowałem laski, by przejść z jednego pokoju do drugiego. Zatelefonowałem do mieszkającego vis-a-vis Księdza Profesora z prośbą, aby pomógł mi przejść do kaplicy. Tam koncelebrowałem Mszę św. Pod koniec liturgii mszalnej jeden z księży podsunął mi krzesło, ponieważ zauważył, że słabnę. Po południu mój stan wyraźnie się pogorszył. Zatelefonowałem do Księdza Dyrektora płockiej „Caritas”, który przyjechał do mnie z lekarzem. Początkowo wydawało się, że może to być migotanie przedsionków, ale po zrobieniu EKG przywiezionym aparatem lekarz stwierdził tylko pewną niewymiarowość. Przepisał lekarstwa, które wykupił i przywiózł mi Ksiądz Dyrektor. Doktor zaś poprosił, żebym za dwa dni zatelefonował do niego, ponieważ następnego dnia wyjeżdża.

Sprawy jednak potoczyły się inaczej. We wtorek 20 maja 2003 r. Ksiądz Prokurator (Dyrektor Ekonomiczny WSD) Witold Karpiński zawiózł mnie do Warszawy – następnego dnia znalazłem się w szpitalu na Kasprzaka, gdzie stwierdzono wylew. Ręce pozostawały sprawne, ale prawą nogą nie mogłem w ogóle ruszać i tylko trochę poruszałem lewą stopą.

Nie chcę tu jednak opisywać przebiegu mojej choroby. Podczas kolejnej nieprzespanej nocy zastanawiałem się, czym powinienem się zająć, kiedy już opuszczę szpital i będę mógł pisać. Początkowo przyszło mi na myśl, aby napisać podręcznik filozofii przyrody, ale odrzuciłem ten pomysł. Natomiast od razu zaakceptowałem wewnętrznie projekt napisania wspomnień dotyczących rozwoju mojego życia religijnego i historii mojego powołania do kapłaństwa.

Zdaje sobie sprawę, że pamięć jest omylna, że wiele spraw niechcący pominę, lub przedstawię nieściśle, ale chciałbym utrwalić przynajmniej jakiś cząstkowy obraz mojej drogi. Czekałem na możliwość rozpoczęcia zamierzonej pracy. Podjąłem ją dzisiaj 30 czerwca 2003 r – w 44 dniu mojej choroby.

Od 18 czerwca znajduję się w Żurominie, u mego braterstwa, gdzie doznaję nadzwyczaj serdecznej opieki zarówno ze strony brata Andrzeja, jak i jego żony, Tereni. Nie znajduję słów, by wyrazić im swoją wdzięczność. Próbuję już chodzić z pomocą innej osoby i tzw. „czworonoga”. Nie jest to łatwe, ale robię już pewne postępy. Odbiegnę jednak teraz od obecnej, trudnej codzienności i przejdę do zasadniczego tematu – do mych wspomnień.

Kiedy jeszcze byłem dzieckiem...

Najdawniejsze moje wspomnienia dotyczą pewnego momentu z dzieciństwa. Miałem wtedy może trzy – cztery lata, przynajmniej tak mi się wydaje. Rozmawiano wtedy przy mnie o śmierci. Może było to po pogrzebie Babci ze strony Mamy. Próbowałem zrozumieć, na czym polega śmierć. Przychodziło na myśl, że może jest to zaśnięcie, z którego nie ma przebudzenia. Siedziałem wtedy w ciemnym pokoju – i nagle doznałem jakby doświadczenia, przeżycia własnej nieśmiertelności. To niemożliwe, abym się kiedyś nie obudził. Muszę stale istnieć, moje istnienie nie może się skończyć. Nie mogę nigdy przestać istnieć. Tamto przeżycie stale mi towarzyszy. Po wielu latach, w dorosłym życiu poznałem argumenty przemawiające za nieśmiertelnością człowieka, ale dla mnie były czymś drugorzędnym, chociaż cenię je i uznaję.

Pamiętam z dzieciństwa, że w każdą niedzielę i święto chodziłem z Rodzicami do kościoła. Uczestniczenie we Mszy św. było dla mnie czymś bardzo ważnym. Latem chodziłem nieraz z Ojcem na Stanisławówkę do kościoła księży Salezjanów w Płocku. Najczęściej jednak bywaliśmy w katedrze. Nie rozumiałem jeszcze nic ze Mszy św. Z zaciekawieniem oglądałem malowidła na ścianach katedry i pytałem, co one przedstawiają. Rodzice próbowali kierować moją uwagę na ołtarz, pokazując stojący na nim kielich i mówiąc, że Pan Bóg patrzy na nas i wszystko widzi. Wydawało mi się wtedy, że jeśli schowam się za filarem lub za kimś z ludzi, to nie tylko ja nie będę widział ołtarza, lecz także sam stanę się niewidoczny. Chyba, że Pan Bóg w jakiś tajemniczy sposób widzi wszystko nawet przez różne zasłony...

Kiedy chodziłem w Płocku do pierwszej czy drugiej klasy szkoły podstawowej, miałem niemiłą przygodę. Szkoła znajdowała się przy ulicy Kolegialnej. Kiedyś, gdy wracałem po lekcjach do domu, w okolicy Placu Piłsudskiego zatrzymał mnie jakiś chłopak, trochę starszy ode mnie, ze szczyrykiem w ręku, żądając pięciu groszy i grożąc, że mnie pokaleczy. Pieniądzy nie miałem, więc zacząłem uciekać. Biegłem ulicą Kolegialną i Tumską, ale nikt z przechodniów nie zainteresował się goniącym mnie chłopcem. W końcu zacząłem tracić siły i wpadłem do jakiegoś sklepu, już na początku Nowego Rynku, przy którym mieszkaliśmy. W sklepie za ladą był Żyd z brodą. Nie wiedziałem, kogo mam się teraz bardziej bać, ale sprzedawca zainteresował się moją sytuacją, wyszedł przed sklep i powiedział napastnikowi, że dostanie pięć kijów, a nie pięć groszy. Usłyszał w odpowiedzi, że on na mnie poczeka. Wtedy Żyd, któremu powiedziałem, że mieszkam niedaleko, pod numerem 14, zamknął sklep i zaprowadził mnie do bramy domu. Od tego czasu nabrałem przekonania, że nie trzeba bać się Żydów, bo są wśród nich dobrzy i życzliwi ludzie.

W 1936 roku nasza rodzina przeniosła się do Kutna, ponieważ Ojciec stracił pracę w Płocku i trzeba było szukać innego sposobu zabezpieczenia bytu rodziny. Pamiętam z tego okresu, jak próbowałem przeciwstawić się niesprawiedliwemu w moim odczuciu potraktowaniu mnie przez wychowawczynię mojej klasy. Kiedyś na przerwie jeden ze starszych kolegów, drugorocznych kolegów, zaczął mnie bić, nie pamiętam już, z jakiego powodu. Udało mi się go przewrócić i oddać „pięknym za nadobne”, ale zobaczyła to wychowawczyni. Kazał mi zaraz iść do domu i nie wracać bez rodziców. Zapytałem, czy to dotyczy także kolegi, który rozpoczął za mną bijatykę, ale usłyszałem, że on może wrócić do klasy. Postanowiłem sobie wówczas, że nie będę chodzić do takiej niesprawiedliwej szkoły.

W tym czasie Ojciec pracował we Włocławku i do Kutna przyjeżdżał jedynie na niedzielę i święta. Mama pracowała przed południem i nie miała czasu, żeby nas specjalnie kontrolować. Skorzystałem z tej sytuacji. Była zima, namówiłem więc kilku kolegów, aby zabierali ze sobą łyżwy, i zamiast do szkoły zaczęliśmy chodzić na znajdujące się niedaleko zmarznięte rozlewisko. Przez wiele dni zamiast się uczyć uprawialiśmy łyżwiarstwo. Nauczyłem się wtedy dobrze jeździć na łyżwach. Któregoś dnia, nie pamiętam, z jakiego powodu, lekcje skończyły się wcześniej i moja siostra też wyszła wcześniej niż zwykle ze szkoły. Zobaczyła mnie na ślizgawce – i cała sprawa się wydała. Otrzymałem upomnienie od Mamy, która jednak zrozumiała moje racje i nie potraktowała mnie zbyt surowo. Następnego dnia poszła ze mną do szkoły i odbyła rozmowę z wychowawczynią, wyrażając żal, że nie została wcześniej powiadomiona o mojej długiej nieobecności w szkole.

Także w Kutnie kiedyś trzech kolegów – chyba ze starszej klasy – wywabiło mnie na puste tereny nad rzeką Ochnią, pod pretekstem wymiany znaczków. Pobili mnie, wyrzucili moje książki na ziemię, zabrali znaczki, a do tornistra nasykali piasku i zapowiedzieli, że jeśli do następnego dnia nie przyniosę dla nich po pięć groszy, to utopią mnie w Ochni. Po powrocie do domu kupiłem trochę cukierków, poczęstowałem nimi dwóch silniejszych kolegów powtarzających klasę, opowiedziałem im o całej sprawie i poprosiłem, żeby byli moją „obstawą”. Chętnie się zgodzili. Napastnicy z dnia poprzedniego zorientowali się w sytuacji i zostawili mnie w spokoju. Odtąd mogłem bezpiecznie chodzić do szkoły.

Wiosną 1938 roku przenieśliśmy się do Żuromina, gdzie Ojciec kupił do spółki z dawnym znajomym mały, zaniedbany skład apteczny (drogerię) korzystając z pomocy jednego z braci Mamy. Zaczął się nowy okres w moim życiu.

Pojawia się wątek religijny...

Miałem już osiem lat i chodziłem do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Podczas wakacji rozpoczęło się przygotowanie do pierwszej Komunii świętej. Na naukę katechizmu chodziliśmy do kościoła. Byliśmy podzieleni na kilkunastoosobowe grupy; każdą z nich zajmowała się jakaś uczennica starszej klasy, powtarzając z nią katechizmowe formuły, aby je zapamiętać. Mniej więcej po godzinie wszyscy razem spotykali się z księdzem prefektem, Stanisławem Malinowskim, który omawiał poznane formuły katechizmowe i wyjaśniał ich znaczenie.

Uczennice uczące katechizmu miały kłopoty z kilkoma słabszymi uczniami i poleciły mi, abym tych kolegów douczał w innym miejscu w kościele. Czytanie nie sprawiało mi trudności, toteż dobrze wywiązałem się z powierzonego zadania. Trudno mi jednak było samemu zapamiętać pewne formuły katechizmowe, starałem się jednak zrozumieć ich treść. Przemówiła do mnie specjalnie katechizmowa odpowiedź na pytanie, po co Pan Bóg stworzył człowieka. Czytałem: „Aby człowiek Pana Boga znał, kochał, Jemu wiernie służył, a za to po śmierci zbawienie wieczne otrzymał”. Znajdowałem w tym sformułowaniu cel życia człowieka, choć może jeszcze był on określony zbyt ogólnikowo. Wiązałem sens życia z przyszłym istnieniem po śmierci.

Ponieważ nie umiałem na pamięć wszystkich katechizmowych odpowiedzi, zapytałem przed egzaminem księdza prefekta, czy mogę odpowiadać swoimi słowami. Usłyszałem zgodę – i zdałem egzamin z wyróżnieniem. Dziesięcioro uczniów przedstawionych do nagrody miało losować pięć różańców. Cieszyłem się ze zdania egzaminu i nie myślałem o nagrodzie, tymczasem właśnie wylosowałem różaniec. Odłożyłem go jednak na bok i nie starałem się nauczyć, jak go odmawiać, chociaż moja starsza siostra, Lucyna, próbowała mnie wprowadzić w jego tajemnice, ale szybko o nich zapomniałem.

Pod wpływem siostry zapisałem się do Krucjaty Eucharystycznej, nie pamiętam jednak treści i przebiegu zebrań. Zapamiętałem jedynie, że ksiądz chcąc nas nauczyć kochania Pana Boga bardziej niż ludzi, a nawet bardziej niż rodziców, postawił mi pytanie, co bym zrobił, gdyby rodzice zabronili mi iść w niedzielę do kościoła. Byłem świadomy, jakiej odpowiedzi ksiądz ode mnie oczekiwał, ale uparcie odpowiadałem, że moi rodzice raczej zachęcą mnie, bym chodził do kościoła, a nigdy tego nie zabraniają.

Podczas spotkań Krucjaty pożyczaliśmy do czytania pobożne książki (raczej małe książeczki). Pożyczałem je wraz z innymi, ale nie pamiętam, czy któraś z nich mnie zainteresowała. Oddawałem je bez przeczytania po kilku lub kilkunastu dniach i brałem następną pozycję. Była to jakaś zafalszowana sytuacja, nie miałem jednak odwagi powiedzieć, że nie interesuje mnie taka lektura. Może to po prostu za wcześnie dla mnie na tego rodzaju książki.

Pierwsza spowiedź i Komunia święta nie były dla mnie wielkim przeżyciem. Nie była to jeszcze uroczysta Komunia święta, która w tej parafii miała miejsce dopiero w V klasie. Przychodziliśmy na tę uroczystość w zwykłych ubrankach. Mając iść do spowiedzi myślałem o tym, aby wyznać wszystkie popełnione przewinienia i dlatego spisałem je na kartce, a podczas spowiedzi po prostu odczytałem. Dopiero po wielu miesiącach jeden z księży – chyba ks. dziekan Ignacy Staniaszko – zauważył, że czytam grzechy z kartki i powiedział, abym nigdy tego w przyszłości nie robił. Wy tłumaczył mi, że jeśli nawet zapomni się wyznać jakiś grzech na spowiedzi, to żałując za wszystkie uzyskuje się przebaczenie – nawet tych zapomnianych. Ważne, aby solidnie przygotować się przed spowiedzią, a w razie przypomnienia sobie czegoś po spowiedzi należy to wyznać następnym razem.

Uroczystej Komunii świętej już nie przeżywałem, ponieważ do klasy V zdałem dopiero w 1939 r., kiedy wybuchła wojna. Podczas jej trwania nie organizowano u nas takich uroczystości. Chociaż nie przystąpiłem do uroczystej Komunii

świętej, to jeszcze przed wojną, mając 10 lat, podczas wakacji 1939 r. otrzymałem sakrament bierzmowania z rąk ks. Biskupa Leona Wetmańskiego. Nie pamiętam przeżyć związanych z tym sakramentem. Przyszliśmy przed kościół pół godziny wcześniej, ale – jak się okazało – pomyłono godzinę przyjazdu księdza Biskupa i czekaliśmy jeszcze półtorej godziny. Trudno w takiej sytuacji o skupienie. Przy bierzmowaniu otrzymałem imię Stanisław, gdyż trochę słyszałem o św. Stanisławie Kostce, którego często przeciwstawiano „złemu” bratu Pawłowi.

Wiosną 1939 r. trochę przypadkowo zostałem ministrantem. Graliśmy w piłkę w pobliżu parafialnego klasztoru, w którym od dawna nie było zakonników. Rzucaliśmy twardą gumową piłeczką – lanką – o ścianę klasztoru. Zastał nas przy tym ksiądz prefekt Stanisław Malinowski. Jeden z kolegów chcąc odwrócić jego uwagę od naszego zachowania powiedział, że mam do księdza jakąś sprawę. Ksiądz uwierzył, wziął mnie za ramię, poprowadził w kierunku kościoła i zapytał, co to za sprawa. Początkowo twierdziłem, że nie mam nic do powiedzenia, kiedy jednak ksiądz nadal zachęcał, abym odważnie przedstawił, co mi leży na sercu, uświadomiłem sobie, że koledzy są ministrantami, więc żeby się wykręcić z niezręcznej sytuacji powiedziałem, że chcę zostać ministrantem. Ksiądz prefekt wyraził zgodę, a nawet po wejściu do zakrystii polecił, aby dano mi komżę. Za chwilę miało rozpocząć się nabożeństwo, chyba majowe. Odmawiane i śpiewane modlitwy ani litanie nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia, natomiast zainteresowała mnie, a nawet urzekła modlitwa św. Bernarda. Do dzisiaj pozostałem jej wierny.

W ten sposób zacząłem pełnić funkcję ministranta. Nauczyłem się ministrantury – po łacinie, przyswoiłem sobie, jak i kiedy trzeba podawać wino i wodę, przenosić mszał i używać dzwonek. Może to był już jakiś pierwszy krok w kierunku kapłaństwa?...

Nadal jednak moje modlitwy miały charakter formalny. Traktowałem je jako spełnianie obowiązku. Zazwyczaj ograniczały się one do rannego i wieczornego pacierza. Więcej miałem do powiedzenia Panu Bogu jedynie wtedy, kiedy prosiłem o jakiś dar, o pomoc.

Wybuch wojny 1 września 1939 r. i wkroczenie Niemców do Polski początkowo nie miały wpływu na moje uczucie i przekonania religijne. Po dziecinnemu cieszyłem się, że nie trzeba iść do szkoły, że powtórzyły się czasy umożliwiające czyny bohaterskie w obronie Ojczyzny. Znałem przecież z historii okres długoletnich rozbiorów Polski, powstania w walce z okupantami, bohaterstwo Orłąt Lwowskich broniących swego miasta, a także słyszałem o obronie Płocka w 1920 r. Brali w niej czynny udział harcerze, a Płock został odznaczony Krzyżem Walecznych. Przypominały mi się opowiadania mego Ojca o jego udziale w wojnie z bolszewikami, o „cudzie nad Wisłą”. Pamiętam, jak wędrowaliśmy z nim często do miejsca na granicy Płocka, gdzie znajdował się kopiec 200 poległych w walce z bolszewikami, także w 1920 r. Cieszyłem się, kiedy Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, ale mocno i boleśnie przeżyłem uderzenie Związku Radzieckiego na Polskę 17 września 1939 r. i utratę niepodległości.

W naszym miasteczku Niemcy nie pozwolili otworzyć szkoły dla dzieci polskich, ale zmuszali je do pracy fizycznej. Mając dziesięć czy jedenaście lat musiałem przez kilka godzin dziennie pracować przy oczyszczaniu ulicznych

bruków, rozbiórce domów czy zbieraniu kamieni na polach. Rozpoczęły się wywożenia Polaków do Niemiec na przymusowe roboty; wysiedlono wiele osób, wśród nich wszystkich Żydów. Miały miejsce aresztowania i osadzanie w obozach koncentracyjnych; aresztowano także wielu księży, między innymi naszego prefekta ks. Stanisława Malinowskiego.

Zacząłem uświadamiać sobie, że takie działania i zbrodnie są skutkiem nieprzestrzegania przykazań Bożych. Kiedy odrzuca się wiarę w istnienie Boga i nieśmiertelność człowieka, dochodzi do głosu egoizm, chęć panowania na innymi, rabowanie cudzego mienia; pojawia się zakłamanie i niesprawiedliwość. Umacniałem się w tym przekonaniu, kiedy słyszałem o losie Polaków pod okupacją sowiecką, a więc pod władzą reżimu ateistycznego.

W tym czasie zaczęły mocniej do mnie przemawiać niektóre pieśni religijne, jak „Boże coś Polskę” czy śpiewane po sumie Suplikacje. Głęboko przeżyłem też powieści H. Sienkiewicza, zwłaszcza Trylogię, niektóre wiersze jak „Maraton” K. Ujejskiego czy poezje A. Mickiewicza. Szczególnie przemówiły do mnie słowa: „Mówisz: niech sobie ludzie nie kochają Boga, byle im była cnota i Ojczyzna droga. Głupiec mówi: Niech sobie wyschnie źródło w górach, byleby mi płynęła woda w miejskich rurach”.

Początkowo wszystkich Niemców oceniałem negatywnie, z czasem jednak wprowadziłem do tego poglądu pewne poprawki. Kiedyś ksiądz Dziekan Ignacy Staniaszko zwrócił się do kilku starszych ministrantów, do których także należałem, aby przyjść do kościoła na oznaczoną godzinę, gdyż pewien niemiecki ksiądz ma odprawić Mszę św. dla żołnierzy Wehrmachtu. Byliśmy zdziwieni i zaskoczeni tym, że wśród Niemców są tacy, którzy uczestniczą we Mszy św. Było to dla mnie jakieś doświadczenie powszechności Kościoła, którego zasięg przekracza granice państw i narodów. Dopiero później dowiedziałem się, że zadaniem Kościoła jest gromadzenie w jedną rodzinę rozproszonych dzieci Bożych i jednocześnie ludzi w prawdzie i miłości z Bogiem i między sobą.

Msza św. odprawiona przez niemieckiego księdza była taka sama jak Msza św. odprawiona przez naszych księży; taka sama była łacińska ministrantura. Po Mszy św. otrzymaliśmy od celebransa obrazki z Ziemi Świętej, z kawałkami gazy potartej o miejsce narodzin Chrystusa.

Żołnierze niemieccy kwaterujący w Żurominie na ogół dość życzliwie odnosili się do mieszkańców, a nawet czasami brali ich w obronę przed żandarmerią niemiecką. Kiedyś przyszedł do prowadzonej przez mojego Ojca drogerii kapitan Schwarzkopf, właściciel firmy wytwarzającej kosmetyki i narzekał na Hitlera, że rozpoczął wojnę i dlatego on, zamiast prowadzić interes, został powołany do wojska. Innym razem, przed Bożym Narodzeniem wprosił się do nas na wigilię jakiś żołnierz-Ślązak, który narzekał na służbę wojskową. Nie został jednak z nami do końca wieczery, gdyż wyczuł, że jest między nami jakaś bariera.

W Żurominie podczas wojny kościół był zasadniczo otwarty, tylko nie było kazań podczas niedzielnych Mszy świętych. Po południu w niedzielę śpiewano Nieszpory. Uczestniczyłem w tym nabożeństwie i oczywiście w niedzielnej Mszy św., a także w śpiewaniu Godzinek do Najświętszej Maryi Panny.

Od dawna pociągały mnie ideały harcerskie; znajdowałem w nich połączenie wartości religijnych, patriotycznych i ogólnoludzkich. Ceniłem prawdomówność, toteż przemawiało do mnie jedno z przykazań harcerskich: „Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy”. Należałem do harcerstwa jeszcze przed wojną, a w czasie wojny postanowiłem założyć tajną drużynę harcerską, co mi się udało. Drużyna liczyła dwunastu kolegów – ministrantów; ja byłem jej drużynowym. Tworzyliśmy dwa zastępy; wszyscy przyjęliśmy pseudonimy zaczerpnięte głównie z Trylogii. Wybrałem dla siebie nazwisko Skrzetuski. Co niedziela – zwykle po Nieszporach – odbywały się zbiórki, w zimie na terenie częściowo pustego klasztoru, a latem nad rzeką. Przystawaliśmy sobie i utrwalaliśmy religijne, patriotyczne i ogólnoludzkie idee harcerskie.

Fascynowały mnie takie wartości jak sprawiedliwość, dobrze rozumiany patriotyzm, uczciwość, braterstwo wszystkich ludzi. Odnajdywałem te wartości w religii; one zbliżały mnie do Boga. U ich podstaw odkrywałem Dekalog i naukę Chrystusa.

Mimo wszystko nie byłem wolny od pewnych wątpliwości religijnych. Pojawiły się one w pierwszych latach po wojnie, kiedy uczęszczałem do gimnazjum w Płocku. Chodziło mi zwłaszcza o to, czy Pismo święte, o którego prawdziwości byłem przekonany, jest w pełni zgodne z rozumem i wiedzą naukową. Był taki okres, kiedy szukałem rozumowego potwierdzenia prawdy o bóstwie Chrystusa. Trudno było mi zrozumieć tajemnicę Wcielenia i tajemnicę Trójcy Świętej. Przez całe tygodnie i miesiące myślałem wieczorami o tych sprawach, pytałem innych, szukałem argumentów przemawiających za i przeciw. Mimo tych wątpliwości byłem jednak wierny codziennej modlitwie i praktykom religijnym, szczególnie uczestniczeniu we Mszy św. w każdą niedzielę.

Moje chrystologiczne wątpliwości ustępowały wobec głębokiego przekonania, że istnieje Pan Bóg i życie wieczne. Wszystkie znane mi wówczas argumenty przemawiające za ateizmem były dla mnie naiwne. Większość ludzi dochodzi do Boga przez Chrystusa; u mnie było inaczej. Pewność dotycząca istnienia Boga i życia wiecznego doprowadziła mnie do Chrystusa i pogłębiła moją wiarę. Uświadomiłem sobie, że rozumna wiara jest obok wiedzy naukowej drugim źródłem poznania prawd religijnych. W rozmowach często odwoływałem się do Pisma świętego. Doszedłem do wniosku, że Chrystus jest najpełniejszym wzorem człowieczeństwa, że przynosi On rozwiązanie codziennych problemów, nawet tych trudnych, związanych z cierpieniem i niepowodzeniami, że jest człowiekiem i Bogiem. Tajemnica Wcielenia stała mi się bliska.

Pociągały mnie niektóre nabożeństwa, jak Gorzkie Żale; do innych miałem zastrzeżenia. Przez długi czas nie mogłem zrozumieć litanii, dopóki nie uświadomiłem sobie, że człowiek zakochany powtarza nieraz te same słowa zwracając się do ukochanej osoby, kieruje do niej różne nazwy. Litanie powinny zatem być odmawiane przez tych, którzy są pełni miłości do Chrystusa, do Matki Bożej, do świętych.

Później, kiedy już byłem w Seminarium, zachwycałem się śpiewem gregoriańskim. Szczególnie przemawiała do mnie śpiewana w niedzielę Prima, Tertia, a także Nieszpory. Żałuję, że zniesiono Primę, gdyż prócz psalmów było w niej wiele pięknych, głębokich modlitw. Bardzo mocno oddziaływały na mnie również łacińskie śpiewy pogrzebowe, a zwłaszcza „Miserere mei Deus”, „De

profundis”, „Libera me, Domine”... Śpiewy gregoriańskie pomagały mi przeżyć potęgę Boga, budziły uwielbienie i tęsknotę do Niego, ożywiały moje uczucia.

Wspomniałem już, że szczególnie przemawiała do mnie modlitwa św. Bernarda. Wierzyłem, że za pośrednictwem Matki Bożej można wszystko osiągnąć. Co do tego nigdy nie doznałem zawodu. Natomiast nabożeństwo Drogi Krzyżowej podświadomie wzbudzało we mnie pewne opory. Prawdopodobnie był to skutek wydarzenia, jakie miało miejsce jeszcze przed wojną, w Żurominie. Chodziłem wtedy do szkoły po południu. W Wielkim Poście ksiądz polecił mi kiedyś uczestniczenie w Drodze Krzyżowej w najbliższy piątek. Właśnie tego dnia spadłem w szkole ze schodów, które były okute. Rozbiłem sobie mocno nos i głowę. Obolały poszedłem jednak do kościoła, ale nie mogłem skupić się na nabożeństwie. Po powrocie do domu byłem chory, leżałem dość długo. Chyba wtedy właśnie złamałem przegrodę nosową i od tej pory stale miałem kłopoty z oddychaniem. Nie mogłem też szybko biegać, chociaż przed tym wydarzeniem podczas biegów znajdowałem się w czołówce.

W czasie wojny odprawiłem nowennę dziewięciu pierwszych piątków miesiąca, przystępując do sakramentu pokuty i Komunii św. Zapewne było tych piątków więcej niż dziewięć. Jednego roku – bodajże przy ósmym piątku – okazało się, że jest to Wielki Piątek, a więc nie ma tego dnia Komunii św. (było to jeszcze przed reformą liturgiczną). Myślałem wtedy, że została przerwana ciągłość nowenny i powtarzałem swoje piątki od nowa.

Jak już wspominałem, ceniłem bardzo ideały harcerskie, toteż zaraz po wojnie, kiedy znalazłem się w Płocku jako uczeń Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Stanisława Małachowskiego, podjąłem pracę w harcerstwie. Po pewnym czasie przyszedł do nas druh Waław Milke, który przez pięć lat był więźniem obozów koncentracyjnych Gusen i Mauthausen. Wstąpiłem wtedy jako uczeń I klasy licealnej do kręgu harcerskiego, który z czasem przekształcił się w Drużynę Artystyczną, a następnie w Zespół Harcerski Pieśni i Tańca – Dzieci Płocka. Dział on do tej pory i nadal utrzymuję z nim bliski kontakt.

Druh Waław umiał łączyć wartości religijne z ogólnoludzkimi. Często opowiadał nam o życiu religijnym w niemieckim obozie, gdzie właśnie wiara pomagała przetrwać tragiczne chwile. Z wielkim zainteresowaniem słuchaliśmy o tym, jak trudne były wielogodzinne apele. Wielu ludzi stojąc na zimnie traciło siły, mdlało, a czasem nawet umierało. I wtedy pewna grupa więźniów postanowiła, aby podczas apelu każdy powtarzał jedno wezwanie z litanii do Matki Bożej. Świadomość zjednoczenia w modlitwie pozwalała łatwiej znosić cierpienia.

Szczególnym przeżyciem był dla więźniów obozu wieczór wigilijny. Z otrzymanego chleba razowego robiono małe kostki, którymi dzielono się jak opłatkiem; po cichu śpiewano kolędy. Bywały też inne akcje. Z granitu, jaki wydobywano w trudzie z kamieniołomu, robiono kostki podobne do kostek do gry, wiercono w nich otwory, w których umieszczano prochy spalonych więźniów, zaklejono je, rozdawano grupie więźniów, i każdy odmawiał jedno „Zdrowaś” różańcowe. Zrobiono też podobne kostki z drzewa, na którym powieszono młodego więźnia, a potem do zrobienia podobnych kostek posłużyły szczątki amerykańskiego samolotu zestrzelonego w pobliżu obozu. Po wojnie przywieziono

te kostki do Polski i zrobiono z nich różańce, które umieszczono ma Jasnej Górze, w kościele św. Anny w Warszawie i we Wrocławiu.

Opowiadania o tym wszystkim pogłębiły nasze przeżycia religijne, a także uświadamiały nam, że nawet w najtragiczniejszych momentach nie należy tracić nadziei, że zawsze trzeba pełnić dobro możliwe do zrealizowania w danych warunkach. Nigdy człowiek nie powinien się załamywać, a modlitewny kontakt z Chrystusem z Matką Bożą ułatwia poznanie i realizowanie zadań, jakie można podjąć w konkretnej sytuacji. Nie powinno uciekać się w świat fantazji i złudzeń. Wartości religijne mogą skutecznie pomagać w przeżywaniu trudu dnia codziennego, czasem w sposób bohaterski.

Druh Waclaw nie tylko mówił o obozowych przeżyciach religijnych, lecz także na spotkaniach Kręgu starszoharcerskiego, a później Drużyny Artystycznej uczulał nas na to, co piękne, dobre, szlachetne. Urządzał gawędy przy kominku, podczas których mówiło się o bohaterstwie Polaków walczących w powstaniach w okresie rozbiorów i potem w XX wieku. Zachwycaliśmy się pięknem zwyczajów ludowych, tańców i śpiewów, pięknem, które – jak pisał Jerzy Zawieyski w dziełku „Owoc czasu swego” – jest żalem za utraconym rajem i tęsknotą do tego, co nas czeka po zakończeniu ziemskiej pielgrzymki. Inscenizacje wierszy takich jak „Jaś nie doczekał”, „Młodzieniec i żebrak”, a także śpiewy w rodzaju „Sprawiedliwie dzielcie chleb, ojcowie”, uczulały na potrzebę czynnej miłości bliźniego. Kiedy spoza sceny kino-teatru „Przedwiośnie” mówiłem słowa Chrystusa: „Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie, oddam ci wszystko w ostatniej godzinie”, myślałem o pięknie i wartości nauki Chrystusa.

Wreszcie w okresie karnawału w 1947 r., wspólnie z koleżankami i kolegami z innych płockich liceów urządziliśmy w „Przedwiośniu” widowisko „Staropolskie zapusty i kulig międzynarodowy”. Były tam tańce z różnych rejonów Polski, był też kulig, z którym zjeżdżało się do różnych państw, przedstawiając ich tańce i piosenki. Całość wyrażała ideę ogólnoludzkiego braterstwa; przy końcu wystąpiły personifikacje wiary, nadziei i miłości, a więc znowu wyraźny element religijny. Dzięki tym wszystkim przeżyciom wiara stawała się dla mnie coraz ważniejsza.

Przypomnę jeszcze pewne wydarzenie z wakacji 1947 r. Podczas harcerskiego obozu wędrownego, który zorganizował także druh Waclaw, kiedyś nocą jechaliśmy pociągiem. Dyskutowaliśmy o istotnych wartościach ogólnoludzkich. Chyba wszyscy byli zgodni co do tego, że istnieje obiektywne dobro, które obowiązuje wszystkich ludzi. Odwoływaliśmy się nie tylko do religii lecz także do uzasadnień czysto rozumowych. Zainteresował się naszą dyskusją podróżujący w sąsiednim przedziale dyrektor Jagiellonki – pierwszej bezwyznaniowej szkoły w Płocku; przyszedł do nas i próbował nas przekonać o słuszności relatywizmu aksjologicznego, który twierdzi, że dobro i zło jest różne dla różnych ludzi, że zależy ono od czasu i miejsca. Kiedy nadal broniliśmy swojego stanowiska – i to skutecznie, pan dyrektor powiedział, że ma magisterium z filozofii i jeżeli ktoś z nas będzie kiedyś studiował tę dyscyplinę, to z pewnością zmieni swoje poglądy. Skoro stwierdziliśmy, że dyskusja rzeczowa do niczego nie prowadzi, zaczęliśmy udawać, że jesteśmy śpiący i skończyliśmy rozmowę. Ja sam, po zrobieniu doktoratu z filozofii, uważam relatywizm aksjologiczny i episte-

mologiczny za pogląd nie tylko błędny lecz bardzo niebezpieczny i szkodliwy (pierwszy twierdzi, że nie można odróżnić dobra od zła, drugi zaś głosi to samo w odniesieniu do prawdy i fałszu).

Z biegiem czasu utrwaliło się we mnie przekonanie, że wartości religijne wiążą się ściśle z wartościami ogólnoludzkimi. Uważam, że chociaż wartości ogólnoludzkie wynikają z wartości chrześcijańskich, to jednak można je uzasadnić także w inny nieco sposób, odwołując się do koncepcji człowieka jako osoby. Jeżeli jednak zakwestionuje się życie pozagrobowe, to zabraknie wystarczających motywów, aby starać się postępować zgodnie z tymi wartościami, szczególnie wtedy, gdy wierność wobec nich będzie wymagała wyrzeczenia i trudu, gdy prawdomówność, sprawiedliwość, uczciwość i miłosierdzie będą człowieka dużo kosztowały. W takich sytuacjach nie wystarczy nieraz dobra wola, lecz potrzebna jest łaska i pomoc Boża.

W dzienniczku z moich lat szkolnych, pod datą 4 marca 1947 r., znalazłem następujące słowa: „Dzisiaj nie było lekcji, gdyż jest to święto Patrona naszej kaplicy. Ksiądz miał mądre kazanie. Zapamiętałem przytoczone przez niego słowa Pana Jezusa: «O cokolwiek będziecie prosili Ojca w imię moje, da wam». Zaraz też zacząłem prosić Pana Boga, by Rodzice, bracia, siostry i ja sam postępowali tak, aby mogli później otrzymać życie wieczne. Prosiłem także o powołanie dla siebie. Jestem pewien, że Bóg wysłucha moich prośb”.

Odzywa się głos powołania...

Nie pamiętam, abym jako dziecko myślał o kapłaństwie. Te sprawy były dla mnie w pewnym sensie obce. Wprawdzie chodziłem z Rodzicami – a później sam – na Mszę św. w każdą niedzielę i święto, ale traktowałem to jako obowiązek, wypełnianie Bożego nakazu. Kapłaństwo mnie nie interesowało.

Pierwszym sygnałem powołania miało być wydarzenie, jakie miało miejsce wiosną 1939 r. W Żurominie był dom sierot prowadzony przez bezhabituowe Siostry Służki. Spotykałem się czasem z chłopcami z tego domu, rozmawialiśmy ze sobą i graliśmy w piłkę. Pewnego dnia jeden z nich powiedział że wie, kim ja będę w przyszłości. „Misjonarzem – ale to nie jest pewne... Niewątpliwie zaś będę księdzem”. Zdziwiłem się i zaprzeczyłem: „Nigdy nie będę księdzem”. Wtedy ten chłopiec powiedział, że na znak prawdziwości jego słów zostaną wkrótce ministrantem. Ponownie zaprzeczyłem, ale rzeczywiście niedługo po naszej rozmowie zostałem ministrantem.

Następny, wyraźniejszy znak pojawił się później, w czasie wojny, w związku z przykrym wydarzeniem rodzinnym. Co pewien czas, po domowym praniu chodziłem nieraz z naszą praczką do magła, który znajdował się w starym klasztorze i pomagałem jej w maglowaniu. Kiedyś poszedł z nami mój młodszy, chyba wówczas czteroletni, brat Stefan, który chciał koniecznie „pojeździć” na bloku maglowym. Posadziłem go na bloku i wozilem tam i z powrotem. W pewnym momencie usłyszałem krzyk chłopca. Zatrzymałem a następnie cofnąłem magiel. Stefan włożył nogę w niewłaściwe miejsce i przygniół ją blok maglowy. Na szczęście dziecko miało na nogach buty i dzięki temu stopa nie została całkowicie zgnieciona. Zaniósłem brata do domu i opowiedziałem rodzicom, co się

stało. Ojciec starał się mnie uspokoić, żebym czasem nie zrobił sobie nic złego i poszedł ze Stefanem do lekarza, a ja poszedłem do kościoła i modliłem się o uratowanie nogi brata. Modliłem się za przyczyną Tej, która nigdy nie odmawia pomocy. Prosiłem Pana Boga, żeby zabrał raczej moją nogę, a nogę Stefana – jeśli to możliwe – ocalił. Wtedy usłyszałem wyraźny głos wewnętrzny: „Nie chcę twojej nogi, chcę całego ciebie. Stefan wyzdrowieje, ale czy ty decydujesz się całkowicie oddać Mi siebie? ”. Odpowiedziałem: „Tak”.

Lekarz po zbadaniu nogi Stefana powiedział, że kość jest pęknięta, ale nie zmiażdżona. Najbliższy szpital znajdował się w Sierpcu w odległości 35 km. Była zima i jazda saniami lub wozem mogłaby pogorszyć stan chłopca. Lekarz usztywnił chorą stopę i powiedział, że rekonwalescencja może potrwać kilka tygodni lub nawet dłużej. Tak też się stało. Wprawdzie Stefan jeszcze po kilku miesiącach trochę kulał, ale po kilku latach nie było śladu po wypadku. Ja sam zapomniałem wkrótce o przyrzeczeniu, jakie dałem Bogu, ale On przypomniał mi je już po wojnie. Chodziłem wtedy do szkoły średniej w Płocku, gdzie mieszkaliśmy z siostrą Lucyną na stacji, w roku szkolnym 1945/46 przy ulicy Słonecznej, w domu pp. Aptowiczów, w mieszkaniu pp. Dzierżanowskich. Jędrzek Aptowicz chodził do tej samej klasy co ja i często byłem u niego na parterze, aby wspólnie się uczyć. Przychodził też do nas Andrzej Borkowski, kolega z tej samej klasy, mieszkający blisko nas, przy ul. Batorego. To on wciągnął mnie do podziemnej Armii Krajowej, do której zapisałem się pod pseudonimem Skrzetuski, gdyż tak nazwałem się w czasie wojny, w tajnej drużynie harcerskiej. Andrzej Borkowski pożyczał mi kilkakrotnie broń, między innymi mały rewolwer bębenkowiec. Można było do niego wkładać naboje dłuższe – longi, lub słabsze – półlongi. Zazwyczaj miałem w nim naboje mieszane. Kiedyś Andrzej Aptowicz zobaczył u mnie ten rewolwer i prosił, abym mu go pokazał. Wziął go do ręki i zaczął mierzyć w głowę Andrzeja Borkowskiego, trzymając przed rewolwerem swoją lewą rękę. Zdołałem krzyknąć: „Nie strzelaj, nabyty! ”, ale już było za późno. Padł strzał. Andrzej zranił się w rękę, przez którą kula małego kalibru nie przeszła. Rzucił broń na ziemię. Do pokoju weszła wystraszona jego starsza siostra, zobaczyła pełno krwi. Zranioną rękę Andrzeja zabandażowano i dwaj koledzy – Borkowski i Aptowicz – poszli do lekarza, chirurga. Zgnębiony wróciłem do swego mieszkania i zacząłem gorąco się modlić. Prosiłem Boga, by nie było komplikacji z ręką Andrzeja, aby nie wydała się nasza konspiracja i żeby nie było aresztowań. I znowu usłyszałem wewnętrzny głos: „Dlaczego zwlekasz z decyzją? Wstąp do Seminarium; wszystko ułoży się dobrze”. Ponownie przyrzekłem, że to zrobię. Rzeczywiście cała sprawa dobrze się skończyła. Kula tylko drasnęła kość; po jej wyjęciu ręka szybko zaczęła się goić. Nikt nie dowiedział się o naszej niebezpiecznej przygodzie.

W kilka tygodni później z innego powodu chcieli aresztować Andrzeja Borkowskiego, ale udało mu się uciec. Przez pewien czas, aż do amnestii, skutecznie ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem. Aresztowano wtedy jedną z córek państwa Dzierżanowskich i całym mieszkaniem przeprowadzono rewizję. Nie było mnie wówczas w domu, ponieważ nie wiedząc o niczym wyjechałem na kilka dni do Żuromina. Pechowy rewolwer zostawiłem w Płocku, w niedu-

żej skrzyneczce zamykanej na kluczyk. Podczas rewizji próbowano ją otworzyć uderzeniami kolby, ale zamek się nie poddał. Jeden z prowadzących rewizję powiedział wtedy do drugiego: „Zostaw, nie rozbijaj skrzynki uczniowi”. Po rewizji siostra moja, Lucyna, powiedziała o rewolwerze p. Dzierżanowskiemu, który otworzył skrzynkę i rewolwer zakopał. W ten sposób udało mi się uniknąć aresztowania i śledztwa w związku z posiadaniem broni.

Wracając do sprawy powołania mogę jeszcze wspomnieć, że niewiele brakowało, abym już wcześniej znalazł się w Niższym Seminarium Duchownym w Płocku zamiast w Małachowiance. Kilku moich kolegów z Żuromina wybierało się do Niższego Seminarium, gdzie nauka rozpoczynała się w kwietniu 1945 r. Miałem wtedy w domu prywatne lekcje z p. Marią Dzikowską, przedwojenną nauczycielką, i kończyłem z nią program drugiej klasy gimnazjum. Do Seminarium potrzebna była opinia proboszcza. Otrzymaliśmy ją wszyscy w zalakowanych kopertach. Moja opinię zawiózł do Płocka Ojciec, który na pytanie ks. Dyrektora, czy zamierzam zostać księdzem, odpowiedział przecząco. W związku w tym nie zostałem przyjęty do Niższego Seminarium, a dodatkowym powodem – jak się później okazało – była pewna pomyłka: ks. Proboszcz do mojej koperty włożył opinię dotyczącą jednego z moich kolegów, a opinia o mnie znalazła się w jego kopercie. Dużo później, kiedy odwiedzałem kolegów w Niższym Seminarium, usłyszałem od ks. Dyrektora, że gdyby znał prawdziwą opinię, jaką wystawił mi ks. I. Staniaszko, przyjąłby mnie bez problemu. Ostatecznie zostałem uczniem Małachowianki, do której zdałem wymagany egzamin.

W okresie nauki w szkole średniej dużo myślałem o mojej życiowej drodze. Nieraz wieczorami zastanawiałem się, czy będą mógł czynić więcej dobra jako kapłan, czy jako człowiek świecki. Notowałem swoje przemyślenia w prowadzonym wówczas dzienniku, który zachował się do tej pory. Pod datą 17 marca 1947 r. zapisałem: „Dzisiaj na religii ksiądz mówił, że jeśli jakaś myśl przychodzi człowiekowi wciąż do głowy, np. aby zostać księdzem, to nie można jej lekceważyć, lecz trzeba poważnie nad nią się zastanowić. I teraz znów myślę o wstąpieniu do Seminarium, lecz rozważenie tej sprawy odkładam na czas rekolekcji, które będą za tydzień”. Nieco dalej, pod datą 25 marca 1947 r.: „Dzisiaj rozpoczęły się rekolekcje...”. Następnego dnia: „Teraz przechodzę do moich przeżyć wewnętrznych. Ważna myśl, o której już zdaje się wspominałem, a która mnie gnębiła, dotyczyła wyboru mojej drogi życiowej. Kim mam być? Na rozpatrzenie tej sprawy poświęciłem czas rekolekcji, gdyż można wtedy bardziej zastanowić się nad sobą. Rozważam zagadnienie, po co człowiek żyje na świecie? A gdy dochodzę do wniosku, że po to, by otrzymać niebo oraz przyczynić się do tego, by zostało ono osiągnięte przez jak największą liczbę ludzi, rozważam dalej kwestię mojego dalszego życia i zawodu. Będąc człowiekiem świeckim, czy to inżynierem, czy nawet członkiem rządu – lub zwykłym śmiertelnikiem, choćbym jak najwięcej pracował nad doskonaleniem i uszlachetnieniem siebie, nie zrobię tyle dobrego dla ludzi, ile mógłbym zrobić będąc księdzem. Jeżeli jako człowiek świecki założyłbym rodzinę, to musiałbym się o nią troszczyć. Prócz tego musiałbym myśleć o Rodzicach, braciach i siostrach, a może też zrobiłbym coś dobrego dla innych bliźnich, ale to byłby jedynie pewien margines. Pewnie pomagałbym

ludziom raczej materialnie, a nie duchowo, gdyż byłbym zajęty innymi sprawami. Natomiast będąc księdzem mogę troszczyć się głównie o sprawy duchowe ludzi, a tylko ubocznie o ich potrzeby materialne. Dlatego też postanowiłem starać się zostać księdzem, nie zważając na czekające mnie trudy i przeciwności”.

Kiedyś na lekcji religii wzięłem od ks. prefekta Romana Fronczaka, modlitwę papieża Piusa XII o powołania kapłańskie; odmawiałem ją prawie codziennie przez wiele lat. Także od tego księdza prefekta usłyszałem na lekcji religii definicję powołania, która brzmiała mniej więcej tak: „Jest to stałe działanie Ducha Świętego na umysł i serce człowieka, nakłaniające go do kapłaństwa przez różne wydarzenia, myśli i natchnienia”. To mi pomogło nabrać pewności, że Chrystus wzywa mnie do kapłaństwa.

Podczas rekolekcji, jakie odbywały się w kaplicy Małachowianki w Wielkim Poście, półtora roku przed maturą, powiedziałem o swojej decyzji spowiednikowi, którym był ks. Czesław Chojecki, kapelan harcerski, obecnie żyjący jako emeryt w Rypinie. Rozmawiałem z nim na ten temat po wielu latach, już jako ksiądz.

Od tamtej pory aż do matury w 1948 r. utwierdzałem się w swoim postanowieniu zostania księdzem i już nigdy nie miałem wątpliwości co do tej decyzji. Wprawdzie pojawiały się jeszcze czasem pokusy, by całą sprawę odłożyć na kilka lat, gdyż żal mi było matematyki, która urzekła mnie pewnością swoich twierdzeń, ale odrzuciłem je ostatecznie w przeświadczeniu, że trzeba zrezygnować ze swoich upodobań. Ciekawa rzecz, że zarówno w tym przypadku, jak i w innych, jeśli zrezygnowałem z czegokolwiek dla Chrystusa, odzyskiwałem to później przemienione i udoskonalone. Zazwyczaj okazywało się to mniej wartościowe niż myślałem.

Czytałem w tamtym czasie książkę J. Parandowskiego „Niebo w płomieniach”, gdzie autor przedstawia tragedię wierzącego ojca, którego syn traci wiarę. Pomyślałem, że jako kapłan nie będę przeżywał takich tragedii.

Będąc już w drugiej klasie licealnej myślałem o tym, aby powiadomić księdza prefekta o swej decyzji wstąpienia do Seminarium, ale ciągle odkładałem to na później. Pewnego dnia wracając ze szkoły do domu (mieszkałem wówczas przy ulicy Sienkiewicza) zauważyłem, że ksiądz prefekt rozmawia z jedną z naszych profesorek przy grobie nieznanego żołnierza. Postanowiłem wówczas iść wolno ulicą Kościuszki, przewidując, że po skończonej rozmowie ksiądz także pójdzie tą ulicą i będę mógł z nim porozmawiać. Rzeczywiście tak się stało. Wyprzedzając mnie ksiądz nawiązał ze mną rozmowę i wtedy powiedziałem mu o zamiarze pójścia po maturze do Seminarium Duchownego.

Przed maturą miałem czasem wątpliwości, czy ją zdam. Chodziłem na majowe nabożeństwa do kościoła poddominikańskiego i prosiłem Pana Boga, żeby wszystko dobrze poszło. Pewnego dnia usłyszałem głos wewnętrzny, że moje modlitwy zostaną wysłuchane. Pomyślałem sobie, że może zdam nie dzięki modlitwie, ale dzięki temu, że się uczyłem. Usłyszałem w odpowiedzi, że przed maturą Matka Boża da mi znak. I oto którejś niedzieli, kiedy wychodziliśmy z kaplicy szkolnej po Mszy św., podszedł do mnie mało znany kolega z niższej klasy i poprosił, abym wszedł z nim do jednej z pustych wtedy sal wykładowych. Spełniłem jego prośbę. Kolega dał mi wtedy medalik z wizerunkiem Matki Bożej i zapewnił o modlitwie w intencji zdania przeze mnie matury.

Odebrałem to jako dany mi przez Matkę Bożą znak i już miałem pewność, że egzamin maturalny wypadnie pomyślnie.

Rzeczywiście tak było. Zaraz po maturze w 1948 roku wstąpiłem do Seminarium Duchownego w Płocku.

Z dziennika seminarzysty...

10.11.1948 r. Dzisiaj miałem dziwny sen. Śniło mi się, że jestem w jakimś mieszkaniu, w którym znajduje się mnóstwo butelek piwa i trochę wina, a ja odczuwam wielkie pragnienie. Jakieś osoby częstują mnie winem i piwem, lecz im odmawiam; nie piję, bo pamiętam o swoim przyrzeczeniu danym Matce Bożej. Wtedy odczuwam pewność, że wszystkie moje prośby zostaną wysłuchane, ponieważ Maryja hojnie nagradza swoich czcicieli. Może był to zwykły sen powstały na zasadzie różnych skojarzeń myślowych, bowiem zastanawiałem się nad tym, że ofiara jest skuteczniejsza od samej modlitwy i można nią przebłągać niebo.

W piątek zostaną poświęcone nasze sutanny. Za parę dni będę już chodził w stroju księdza. Postanowiłem, że od chwili włożenia sutanny nie popełnię świadomie żadnego grzechu i będę się starał żyć jak najlepiej. Od pewnego czasu staram się realizować to postanowienie, co traktuję jako generalną próbę i na razie nie popełniam świadomie grzechu. Trudniej mi realizować drugą część postanowienia, gdyż nie zawsze wiem, co w danej chwili należy czynić. Bywają momenty wahania, ale jakoś idzie.

12.11.1948 r. Doczekałem się wreszcie tej chwili. Dzisiaj wieczorem po pa-cierzach odbyło się poświęcenie sutann. Od dziś już mogę, a nawet muszę chodzić w sutannie. Nieznajomi będę zwracać się do mnie „per ksiądz”. To wielki krok na mojej drodze do celu. Obym mógł od tej chwili nie popełnić ani jednego złego uczynku. Oby nic nie splamiło tej sutanny. O Boże, wysłuchaj moich próśb! O Maryjo, módl się za mną!

23.11.1948 r. Ileż to człowiek otrzymuje łask od Boga i od Maryi, a jak mało daje z siebie. Dziś w tej i w innej jeszcze intencji postanowiłem zjeść chleb z marmoladą, chociaż była bardzo niesmaczna. Nie wiem, czy może właśnie dzięki temu podczas różańca byłem dzisiaj skupiony, myśl nie odbiegała od tematu modlitwy i mogłem zająć się rozpamiętywaniem Męki Chrystusa. Oto miliony katolików powtarzają „Wierzę w Boga Ojca”, mówią, że wierzą w śmierć Chrystusa na krzyżu, ale czy naprawdę wierzą? Czy rzeczywiście zdają sobie sprawę z tego, co to znaczy wierzyć? Jeżeli naprawdę wierzą w Mękę Chrystusa, w Jego nieprzebrane i nieskończone miłosierdzie, to czemu Go nie naśladują? Czemu nie idą za Jego wskazaniem? Jeśli znają swój cel, jeśli znają nieskończoną miłość Zbawiciela, to czemu się jeszcze ociągają, na co czekają? O krótkowzroczni! Wielu bardziej martwi się z powodu zgubienia pieniędzy niż z powodu grzechu, który obraża Jezusa. Biedni, nieszczęśliwi ludzie! Co dadzą im wszelkie bogactwa, skoro nie wiadomo kiedy przyjdzie śmierć, a po niej może czeka wieczna męka? Jakie to okropne! A jeszcze gorsze, że wielu katolików nie rozumie miłości Boga. Z ilu ust słyszałem: „Po co idziesz do Seminarium? Idź na politechnikę!”

Nie wiedzą, że ich słowa – to jakby ktoś powiedział do człowieka umierającego z pragnienia i patrzącego na szklankę z wodą i worek złota: „Weź złoto! na cóż ci woda?” Ktoś powie, że przecież można służyć Bogu będąc na Politechnice lub gdzie indziej, że nie tylko ksiądz służy Bogu. Tak, każdy może Jemu służyć, ale na służbę idzie się tam, gdzie człowiek liczy na lepsze warunki. W Seminarium można pogłębiać swoje życie duchowe i „większym staje się Bóg”. Jakże szczęśliwy jestem wewnętrznym szczęściem, że jestem tutaj, że poznałem tyle rzeczy potrzebnych do życia! O Panie, przyjmij mnie do służby Twojej, bym służył Ci wiernie na wieki! Dziś trzeba nieść ludziom światło, trzeba siać zdrowe ziarno, by wydało obfity plon, bo taka wieczność, jakie życie dziś. Jakże chciałbym, o Panie, wydzierać dusze ludzkie z sideł zła, nie patrząc na własne trudy i cierpienia, bylebym tylko mógł ukazywać innym drogę prawdy.

04.12.1948 r. Wczoraj rozpoczęły się rekolekcje miesięczne. Znów można cały dzień poświęcić na rozmyślania o Bogu, o życiu. Dziś rekolekcionista mówił o miłości. Jego słowa – to jakby wyjął mi z ust. Tak samo i ja myślałem i myślę. Miłość Boga i bliźniego – to dwa najważniejsze przykazania. Na nich opiera się cała religia katolicka. Miłujmy się lecz nie tylko słowem. Najważniejsze są uczynki miłosierdzia. Wszędzie i zawsze powinniśmy je spełniać. Życie powinno być miłością. To coś wiecznego. Byłoby cudownie, gdyby na świecie zapanowała miłość. „Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” – mówi Chrystus. I mówi także: „Byłem spragniony, a nie daliście Mi pić, byłem głodny, a nie daliście Mi jeść, byłem chory – a nie odwiedziliście Mnie. Idźcie precz ode Mnie przekłęci w ogień wieczny”. Tak, kto nie spełnia czynów miłości, nie jest katolikiem. Cóż bowiem pomoże, jeśli ktoś będzie wiele wiedział o religii i będzie pięknie o niej mówił, a nie będzie spełniał jej wymagań? Poznają nas po naszych czynach i za nie będziemy odpowiadać. Każdy człowiek pragnie szczęścia – i to nie tylko dla siebie, lecz także dla wszystkich ludzi. Wszyscy chcą, by nie było zmartwień, łez i nieszczęść, lecz niewielu o to naprawdę walczy. A walczyć – to znaczy ocierać wszędzie łzy, usuwać smutki. Troszczyć się o pokrzywdzonych, a w żadnym wypadku, choćby nawet groziła śmierć, nikomu nie wyrządzić krzywdy. Byłoby dobrze, gdy nikt świadomie nie był powodem cudzych łez, ale jeszcze lepiej, gdyby nikt nawet mimowolnie nikogo nie uraził, a to jest bardzo trudne. Tylko Bóg może tu pomóc. Panie, exaudi orationem meam. Zmiłuj się nade mną i daj mi siłę, bym nawet nieświadomie nic złego nie uczynił, bym nigdy Ciebie nie obraził ani bliźnich nie skrzywdził. Widzę, że to, co głosi Kościół Katolicki, jest naprawdę słuszne. Zawsze mówi: „dobrze czyńcie, nawet nieprzyjaciółom waszym”. A dobrze czynić – to dobrze żyć. Postanawiam więc do końca życia dzielnie stać przy tej idei i nigdy nie zaprzecić się miłości Boga ani miłości bliźniego. Dopomóż mi, Jezu i Ty, Matko Przczysta!

17.12.1948 r. Kilka dni temu Mamusia dzwoniła, że 16.12. jedzie samochodem do Warszawy. Gdy szedłem do telefonu, poślizgnąłem się na schodach i przewróciłem. Przyszło mi na myśl, że samochód może ulec wypadkowi ze względu na wielką ślizgawicę na drogach. Zaraz jednak pomyślałem, że muszę się modlić w intencji podróży Mamusi, aby nie stało się jej nic złego. Posłucha-

łem tej myśli i prosiłem Najlepszą Matkę, która wszystkich próśb wysłuchuje, by nie dopuściła do wypadku. Dziś, gdy byłem na mieście, wstąpiłem do cioci i rozmawiałem u niej z Mamusią. Dowiedziałem się, że nie była w Warszawie, ponieważ z powodu ślizgawicy kilkanaście kilometrów za Płockiem samochód zaczęła „tańczyć” na szosie, obrócił się kilka razy w kółko, a potem zatrzymał się bezpiecznie. Czy nie sprawiła tego Opatrzność Boża? Niepokalana wysłuchała także tej mojej prośby. O Pani, zsyłasz mi tyle dobrodziejstw; spraw, abym ja swoim cierpieniem mógł Ci chociaż trochę podziękować!

08.01.1949 r. Dzisiaj rozpoczęły się rekolekcje miesięczne. Na pierwszej konferencji Ojciec duchowny podzielił ludzi dążących do doskonałości na trzy grupy, w zależności od tego, jaki mają stosunek do cierpienia. Pierwsza grupa – to ci, którzy znoszą cierpienie z rezygnacją, druga – z zadowoleniem, a trzecia – to ci, którzy proszą Boga o cierpienie. Zastanawiałem się, do której z tych grup należę i uważam, że jestem między drugą a trzecią grupą, gdyż staram się znosić cierpienie z zadowoleniem, często sprawiają mi one nawet radość, a czasem modłę się o to, bym mógł cierpieć dla Boga i dla bliźnich, bym mógł swoim cierpieniem obudzić w wielu ludzi dążenie do doskonalenia się i miłowania Boga.

05.02.1949 r. Dzisiaj są rekolekcje miesięczne. Ojciec duchowny poruszył kwestię abstynencji (dwa tygodnie temu, w niedzielę, zostałem wiceprezesem abstynentów). Coraz jaśniej widzę, jak wielkim niebezpieczeństwem jest alkohol. 02.02. zostałem przyjęty do Sodalicji Mariańskiej – po egzaminie, który zdawałem 01.02. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie pieśń śpiewana przy końcu Mszy św.: „Królowej swej ja wierność przysięgałem”. Tak, przysięgałem jej wierność. „U stóp ołtarza przysięgałem ja Jej, że dla Niej żyć, Ją kochać, czcić przez całe życie będę”. Widzę jasno, że odrodzenie świata może nastąpić tylko przez zbliżenie się do Boga, poznanie myśli katolickiej i zastosowanie jej w praktyce. W przeciwnym razie źle będzie na świecie. Ilekroć patrzę w oczy życiu, tylekroć widzę, że bez Boga nie miałyby ono sensu. Na konferencji Ojciec duchowny powiedział, żeby się zastanowić, czy każdy z nas mógłby teraz spokojnie umrzeć. Co do mnie, to z jednej strony chciałbym jak najszybciej połączyć się z Bogiem, ale chciałbym też jeszcze przed śmiercią coś zdziałać, dać z siebie coś, co by pociągnęło jak największą liczbę ludzi do Boga. Czy dokonam tego?

09.03.1949 r. Wczoraj rozpoczęły się trzydniowe rekolekcje wielkopostne... Budzi się w człowieku jakaś nieodparta chęć, by świat zapalać miłością, by głosić odwieczną Prawdę – i nie tylko głosić, lecz właczać ją w ludzkie umysły. Czyż nie oddałbym z wielką radością całego swojego życia, by jak najwięcej ludzi stało się prawdziwymi katolikami. Chętnie przyjmę wszystkie męki, cierpienia, by ludzie zrozumieli sens życia... Modłę się do Boga, do Maryi, by umysły całej mojej rodziny, krewnych, znajomych, a także nieznanym ludzi napełniły się miłością Boga. Chryste, Ty wysłuchasz mojej prośby, bo powiedziałeś: „o cokolwiek będziecie prosili Ojca w imię Moje, da wam”. Kto pozna Boga, pozna sens życia, ten jest naprawdę szczęśliwy, bo wie, o co walczy, po co żyje. Niestraszne są dla niego cierpienia, bo wie, że cierpieniem można najlepiej przebłagać Boga i wszystko uprosić. Bóg oczywiście uczyni to, co zechce. Magnificat

anima mea Dominum. Chciałbym Ci, Boże, śpiewać hymny, układać cudowne pieśni, chciałbym Cię chwalić za dobroć Twoją, za miłość do stworzenia. Lecz usta moje nie są w stanie wyrazić tego, co czuje dusza, co kryje się na dnie serca, co zajmuje mój umysł. „Więc płyną słowa moje jak dziecka pismo pierwsze, lecz tak jak ono w nie wkładam umysł, duszę i serce”.

09.09.1949 r. Zastanawiając się nad słowem „drogowskaz”, które ma odzwierciedlać funkcję kapłana, doszedłem do wniosku, że ksiądz powinien być nie drogowskazem, lecz przewodnikiem na drodze do nieba. Drogowskaz bowiem jedynie wskazuje drogę, pokazuje kierunek, ale sam pozostaje na swoim miejscu, dopóki nie zostanie zniszczony – np. przez burzę. Przewodnik zaś idzie na czele wędrowców i wraz z nimi dochodzi do celu. Troszczy się nie tylko o innych, aby nie zblądziły, lecz także o siebie. Bywają kapłani – „drogowskazy” i kapłani – „przewodnicy”. Zdaje mi się, że ci ostatni lepiej wywiązują się ze swojego trudnego zadania.

Zarówno podczas szesznorocznych trzydniowych rekolekcji na rozpoczęcie roku studiów, jak i obecnie Ojciec duchowny przytaczał słowa św. Pawła z Listu do Efezjan (4, 23-24), gdzie Apostoł zwraca się do pogan, by odnawiali się duchem w swoim myśleniu i porzucili starego człowieka, a przyoblekli się w nowego. W szesnym roku ta myśl pojawiła się także w wypowiedzi ks. Wicerektora. Porzucicie wszystko, co minęło, zapomnijcie o przeszłości, stańcie się nowymi ludźmi. Według mnie ta myśl może odnosić się do pogan, do wielkich grzeszników, którzy dążyli jedynie do zdobywania dóbr doczesnych, ale czy może ona dotyczyć nas? Czy jako katolik mogę zapomnieć o wszystkich moich dążeniach do prawdy, o wszystkich walkach wewnętrznych, które doprowadziły mnie najpierw do ukochania Boga, Stworzyciela i Ojca, a w końcu do Seminarium? Czyż mogę zapomnieć o wszystkich łaskach, które otrzymałem od Ciebie, Panie, i od Ciebie, Matko, Maryjo? „Porzucicie starego człowieka” – kiedy ten stary człowiek jest fundamentem nowego. Na drodze do Boga, na drodze do doskonałości przeżywa się różne etapy, ale nie można pewnego fragmentu życia usunąć z pamięci, bo życie stanowi całość, za którą kiedyś będziemy odpowiadać. Trzeba iść dalej do celu nie zapominając o przeszłości, o pokonanych przeszkodach, by pamięć o przeżytych doświadczeniach pomagała w dalszej drodze do celu.

04.11.1949 r. Dziś są u nas miesięczne rekolekcje. Przy czytaniu w kaplicy Ewangelii św. Łukasza uderzyły mnie słowa, które już nieraz słyszałem, i o których wiele myślałem: „Szukajcie, a znajdziecie, proście, a otrzymacie, pukajcie, a będzie wam otworzone”. Ileż żywotnej prawdy zawiera się w tych słowach! Kto usilnie szuka prawdy, ten ją znajduje; kto szuka odpowiedzi na pytanie, jaki jest sens naszego istnienia, ten natknie się na odpowiedź, ale trzeba szukać naprawdę szczerze, mieć na uwadze tylko prawdę, a nie korzyść. Wiem o tym z doświadczenia, gdyż od lat dziecinnych, w wieku 12-13 lat, szukając prawdy zastanawiałem się nad wieloma kwestiami dotyczącymi istoty życia. Pamiętam dobrze, jak przechodziłem i nadal przechodzę jakąś ewolucję w tej dziedzinie i uzyskuję coraz większe światło, coraz większą wiedzę. To Bóg oświecał mój umysł stopniowo, by nie porazić go zbyt silnym blaskiem. Pamiętam moje

przekonania podobne do myśli Kanta (np. imperatyw kategoryczny i dochodzenie do istnienia Boga na drodze rozumu praktycznego), Benthama – dla którego najwyższym szczęściem i ideałem jest przyjemność największej liczby ludzkich istnień; Marksa, który dla podniesienia poziomu życia materialnego całej ludzkości wzywał do walki w interesie pokrzywdzonych od wieków ludzi... Wiele przemyślałem, ale to wszystko doprowadziło mnie do Boga, a potem do Seminarium. I tutaj nadal staram się pogłębiać swoją wiedzę i dążyć do doskonałości. Myślę, że kto będzie umiał właściwie oceniać wszelkie sprawy, już się w znacznym stopniu udoskonali. Staram się o to, lecz czasem spostrzegam, że praca myślowa o charakterze filozoficznym wpływa hamująco na dążenie do doskonałości i człowiek jakby zatrzymuje się w drodze. Muszę na to zwrócić uwagę. Trzeba jedno z drugim uzgadniać, aby nie zaniedbywać dążenia do doskonałości. Muszę – jak radził dzisiaj Ojciec duchowny – często myśleć, że Bóg jest w nas, kiedy posiadamy łaskę; odczucie bliskości Boga pomoże mi dążyć do doskonałości. W każdej chwili będę mógł zaczerpnąć od Niego sił do pracy, znaleźć odpowiedź na dręczące pytania i cieszyć się z Nim z odnoszonych zwycięstw. Odczuwanie bliskości Boga – to rozwiązanie kwestii życia, gdyż w każdej chwili można znaleźć u Niego ratunek. Bliskość Boga umacnia w nas doskonałość, wytrwałość i wierność przyjętym zasadom, co daje niewysłowioną radość.

28.03.1950 r. Od nowego roku mamy nowego Rektora i Ojca duchownego. Ojciec duchowny – to wspaniały człowiek. Bardzo mi odpowiada.

10.09.1950 r. Jest drugi dzień rekolekcji. Traktujemy je – to znaczy mój kurs – jako rekolekcje przed tonsurą. Dwa lata temu było nas sześciu na kursie. W czasie wakacji odszedł jeden z tej szóstki: siedemnastego sierpnia utonął w Wiśle koło Antoniówki Julek Kowalczyk. Mieszkałem z nim w jednym pokoju na pierwszym roku; teraz w sierpniu byłem na jego pogrzebie, na Śląsku, w Pilicy, za Zawierciem. Pochodził ze wsi Dzwonowice, gdzie jego rodzice nadal mieszkają.

08.03.1951 r. Pierwszy dzień trzydniowych rekolekcji wielkopostnych. Wczoraj była akademie ku czci św. Tomasza. Gdy człowiek głębiej spojrzy na swoje życie, widzi, jak Bóg prowadził go do celu. Ile razy – a właściwie prawie zawsze – nie potrafimy tego docenić. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że Boża Opatrzność kieruje całym naszym życiem. Teraz odczuwam to może bardziej niż dawniej i widzę ojcowską rękę Bożą nawet w błahych na pozór sprawach, a tym bardziej w ważniejszych momentach. Kazanie, które głosiłem pierwszy raz 28.01.1951 r. było skierowane nie tylko do słuchaczy, lecz także do mnie. Temat: „Łaska uczynkowa”. Jej działanie odczułem wiele razy w swoim życiu. Wczoraj miałem referat: „Heroizm w życiu św. Tomasza”. To także ręka Bożej Opatrzności. „Angelis suis mandavit de te, ut custodiant te in omnibus viis tuis”.

(tu urywa się dziennik z lat seminaryjnych)

Przed przyjęciem sakramentu kapłaństwa

W czasie pobytu w Seminarium nigdy nie miałem wątpliwości co do wybranej drogi, ale zastanawiałem się czasem nad moją osobistą kapłańską ścież-

ką. Pamiętam na przykład takie wydarzenie: byłem już chyba na trzecim roku i tego dnia należało do mnie napalenie w piecu w jednej z sal wykładowych. W Seminarium piece były węglowe i sami klerycy palili zarówno w swoich pokojach jak i w salach. W tych ostatnich trzeba było zapalić wieczorem poprzedniego dnia i w odpowiednim momencie zakręcić piec, aby nazajutrz od rana było możliwie ciepło podczas wykładów. Miałem pewne trudności z rozpaleniem. Czekając na moment, kiedy można będzie zakręcić piec, myślałem o różnych sprawach. Zbliżała się właśnie uroczystość ku czci św. Tomasza z Akwinu. Przypomniałem sobie opowiadanie, że kiedy Chrystus ukazał się pewnego razu temu Świętemu i zapytał, czego on pragnie, Tomasz odpowiedział: mądrości. Zastanawiałem się, co ja bym odpowiedział, gdyby Chrystus zadał mi takie pytanie? Przychodziła mi na myśl zasadniczo jedna odpowiedź: „Oddaję się Tobie, Chryste, do dyspozycji; akceptuję wszystko, co mi polecisz, bo Ty najlepiej wiesz, jaka konkretna droga jest dla mnie najlepsza. Nie chcę sam decydować, gdyż mogę wybrać to, co jest przyjemniejsze, ale obiektywnie gorsze”. Nawiązując do tych rozważań umieściłem potem na swoich obrazkach prymicyjnych napis: „Oto idę, Boże, abym pełnił wolę Twoją” (Hbr 10,9).

Co innego jednak jest wyrazić pragnienie, a co innego konsekwentnie je realizować. Tak też było i w moim życiu. Często wyrażałem swoje pragnienie modląc się słowami Karola de Foucauld: „Mój Ojciec, oddaję się Tobie. Uczyni ze mną to, co się Tobie podoba. Dziękuję Ci za wszystko, co ze mną uczynisz. Jestem gotów na wszystko, przyjmuję wszystko, byleby Twoja wola realizowała się we mnie i we wszystkich Twoich stworzeniach. Nie pragnę nic innego, mój Boże [...] ponieważ Cię kocham, i [...] ponieważ jesteś moim Ojcem”. Ale w konkretnych sytuacjach nie zawsze byłem Chrystusowi wierny i sam podejmowałem decyzje myśląc, może i słusznie, że Pan Bóg dał nam rozum i wolną wolę, abyśmy z nich korzystali.

Jeszcze w Seminarium, kiedy szukałem swojej osobistej kapłańskiej drogi, nasz Ojciec duchowny, jezuita, ks. Kazimierz Dąbrowski – wspaniały człowiek i kapłan – zapytał mnie pewnego dnia, co bym wybrał w swoim życiu kapłańskim jako osobiste realizowanie powołania: spowiednictwo czy kaznodziejstwo? Pracę z młodzieżą? Katechizowanie? Czy może dalsze studia? Początkowo moja odpowiedź nie była konkretna. Powiedziałem, że akceptuję wszystko, co Chrystus wyznaczy mi przez przełożonych. Ojciec duchowny czekał jednak na bardziej sprecyzowaną odpowiedź. Po namyśle powiedziałem, że gdyby to ode mnie zależało, to wybrałbym dalsze studia i pracę naukowo-dydaktyczną. Wprawdzie pociąga mnie bardzo duszpasterstwo młodzieży, ale mam kłopoty ze słuchem muzycznym. Nie umiem śpiewać, a bez tej umiejętności trudno pracować wśród młodych. Nawet w zwykłej pracy duszpasterskiej brak słuchu stanowi przeszkodę, bo ważne jest poprawne intonowanie pieśni i wykonywanie śpiewów liturgicznych.

Okazało się, że zgodnie z moim wyborem Pan Bóg skierował mnie na dalsze studia i przeznaczył do pracy dydaktyczno-naukowej i wychowawczej.

Pierwszą zapowiedź, że mogę zostać wysłany na studia, usłyszałem od mojej młodszej siostry, Jadwigi, która studiowała na KUL-u filozofię. Słyszała ona, że ks. Rektor plockiego Seminarium, Waclaw Jezusek, wysłał do byłego kleryka studiującego na KUL-u list z zapytaniem o warunki dostania się ten Uniwersytet oraz

istniejące na nim wydziały, gdyż po wakacjach mają tam podjąć dalsze studia niektórzy neoprezbiterzy. Adresat listu ks. Rektora twierdził, że ja na pewno znajdę się w tej grupie. Rozmowa z siostrą miała miejsce podczas Świąt Bożego Narodzenia w 1952 roku, w Żurominie, a pod koniec roku seminaryjnego 1952/53 zostałem wezwany razem z dwoma innymi diakonami na rozmowę do ks. biskupa Ordynariusza, Tadeusza Pawła Zakrzewskiego. Pierwszy zostałem poproszony o wejście. Ks. Biskup powiedział, że zamierza wysłać mnie na dalsze studia i zapytał, na jaki chciałbym pójść kierunek. Odpowiedziałem, że na teologię dogmatyczną, ale Biskup wyjaśnił, że chodziłoby jemu nie o kierunek teologiczny, lecz świecki, abym później mógł uczyć w Niższym Seminarium Duchownym. Przyznałem wówczas, że ze świeckich przedmiotów najbardziej interesuje mnie matematyka i fizyka. Okazało się, że ks. Biskup chce mnie posłać na takie właśnie studia. Miałem wątpliwości, czy taki kierunek istnieje na KUL-u, ale dowiedziałem się, że właśnie w tym roku powstaje i mam złożyć tam potrzebne papiery.

Kiedy pojechałem do Lublina, dowiedziałem się, że nie będzie na KUL-u wydziału matematyczno-fizycznego, ale przy filozofii teoretycznej (filozofii przyrody) będą katedry fizyki i matematyki, a uzyskany dyplom wystarczy, aby uczyć tych przedmiotów w szkole średniej. Zapisalem się wobec tego na wydział filozoficzny, a później się okazało, że właśnie ten kierunek potrzebny był w Seminarium. Po studiach jedynie przez kilka lat uczyłem matematyki i fizyki w Niższym Seminarium Duchownym w Płocku, a już od lutego 1958 r. zacząłem wykładać przedmioty filozoficzne w Wyższym Seminarium, zastępując chorego ks. profesora Marcelego Molskiego. W tej sytuacji musiałem zrezygnować z funkcji asystenta na KUL-u.

Święcenia dla mojego rocznika były przewidziane na 11 października 1953 r., ale ja miałem otrzymać je wcześniej ze względu na rozpoczynające się na Uniwersytecie zajęcia. Zostałem przyjęty na drugi rok bez egzaminów. Datę moich święceń wyznaczono na 23 sierpnia; miałem je otrzymać w Pieniężnie, u Księży Werbistów, których nazwa pochodzi od Tajemnicy Słowa Wcielonego – Verbum Dei Incarnatum. Ks. Biskup Zakrzewski był w Episkopacie odpowiedzialny za sprawy misyjne i dlatego Werbiści – misjonarze – jego właśnie poprosili o udzielenie święceń ich sześciu diakonom. Na terenie diecezji olsztyńskiej nie było wtedy biskupa, gdyż władze PRL-u nie chciały nikogo zatwierdzić na to stanowisko, dopóki Stolica Apostolska nie uzna zmiany granic Państwa. Diecezją olsztyńską administrował ks. infułat Zink, autochton. Biskup płocki zdecydował, że weźmie do Pieniężna tych diakonów, którzy mieli po wakacjach iść na uniwersytet i tam udzieli im święceń. Prócz mnie był jeszcze jeden diakon i jeden subdiakon, który w Pieniężnie miał otrzymać święcenia diakonatu.

U Werbistów otrzymaliśmy samodzielne pokoje; odprawiliśmy tam tygodniowe rekolekcje i uczyliśmy się odprawiania Mszy świętej. Urzekały mnie u nich modlitwy do Ducha Świętego i do Matki Bożej oraz szczególnie uroczysty sposób odprawiania Nieszporów.

Przygotowano w Pieniężnie nocleg dla członków naszych rodzin, którzy mieli przyjechać na święcenia. Ode mnie był tylko Ojciec i Mama ze swoim najmłodszym bratem, wujkiem Eugeniuszem, mieszkającym wówczas w Olsz-

tynie. Nawiasem mówiąc w związku z przyjazdem na moje święcenia miał on duże nieprzyjemności. Pełnił w Olsztynie funkcję inspektora Najwyższej Izby Kontroli w resorcie rolniczym. W drodze do Pieniężna skorzystał z samochodu służbowego, do czego miał prawo. Po kilku dniach został wezwany do Warszawy, do swego szefa, generała Zawadzkiego, aby się wytłumaczył z wyjazdu do Pieniężna, ponieważ kierowca złożył donos, że inspektor pojechał na „kanonizację” swojego siostrzeńca i był u Komunii świętej. Wujek tłumaczył, że wyjazd samochodem służbowym mieścił się w jego uprawnieniach, ale sedno sprawy polegało na tym, iż wyjazd ten był związany z uroczystością religijną.

Święcenia kapłańskie przeżyłem głęboko. Z jednej strony odczuwałem wielką radość, a z drugiej miałem poczucie, że nie odpowiadam w pełni na łaskę powołania. Nurtowały mnie wtedy różne uczucia: byłem pewny, że otrzymuję dar, moc ulepszania siebie, ludzi i świata, a równocześnie obawiałem się, że nie wykorzystam w pełni tych możliwości. Kiedy dotykałem kielicha i pateny, stały mi mocno przed oczyma pewne fragmenty „Wesela” Wyspiańskiego. Wybraniec otrzymuje „złoty róg” i korzystając z niego może dokonać cudu przemiany, obudzenia śpiących ze snu, ale gubi go i nie wykorzystuje czarodziejskiej mocy. Zostaje mu tylko „sznur”... Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, ile wspaniałych możliwości zaprzepaściłem, gdyż nie byłem w pełni wierny Panu Bogu. Często wybierałem to, co było łatwiejsze, przyjemniejsze, a nie to, czego żądał Chrystus.

Przez kilka dni nie odprawiałem Mszy Świętej, aby Msza prymicyjna była naprawdę pierwsza. Prymicje moje odbyły się w Żurominie 30 sierpnia 1953 roku. Wrzesień spędziłem w Seminarium, gdzie na prośbę Rektora pełniłem nadal obowiązki dziekana alumnów, a potem pojechałem do Lublina. Rozpoczął się nowy okres w moim życiu.

Pięćdziesiąt lat kapłaństwa

Po przyjeździe do Lublina zamieszkałem w konwiktie księży, w dwuosobowym pokoju. Obowiązywał nas pewien regulamin: wstawaliśmy o godz. 5⁴⁵; o 6¹⁵ szliśmy do kaplicy na Primę i rozmyślanie; o 6⁴⁵ rozchodziliśmy się do różnych kościołów, aby odprawić Mszę św. (nie było wtedy jeszcze koncelebry). Ja odprawiałem u o.o. Kapucynów, do których musiałem iść dość szybko 12-13 minut, by o godz. 7⁰⁰ stanąć przy ołtarzu. Brat zakonny znajdował zwykle kogoś, kto umiał po łacinie recytować ministranturę. Odprawialiśmy chyba przy dziesięciu ołtarzach; mnie przypadł w udziale ołtarz św. Feliksa, kapucyna. Feliks – to moje drugie imię, gdyż urodziłem się 18 maja, w dzień św. Feliksa, a moja Babcia za strony Mamy, kiedy mieszkała w Warszawie, często chodziła na nabożeństwa do kościoła o.o. Kapucynów. Pragnęła, aby chociaż jeden z jej czterech synów został kapłanem, ale dopiero w drugim pokoleniu zrealizowały się jej pragnienia. Babcia była także moją chrzestną matką; nie dożyła jednak prymicji wnuka, ponieważ zmarła dużo wcześniej, kiedy jeszcze byłem mały.

Wykłady na Uniwersytecie rozpoczynały się już o godz. 8¹⁵. Miałem tygodniowo około 40 godzin, w tym chyba 12 godzin matematyki i fizyki. Przedmioty te nie były obowiązkowe na filozofii, ale chodziłem na te zajęcia ze względu

na wybrany kierunek studiów. Wprawdzie zostałem zwolniony z niektórych wykładów i egzaminów z drugiego roku, ale musiałem zdawać także niektóre przedmioty z pierwszego roku, np. ogólną metodologię nauk.

Pracy miałem bardzo dużo, mimo to po roku studiów zapisałem się do AZS-u i dwa razy w tygodniu chodziłem wieczorem na treningi siatkówki, a od czasu do czasu na grę w ping-ponga. Po pierwszym roku studiów, podczas wakacji, brałem udział w spływie kajakowym na jeziorach mazurskich. Pełniłem tam funkcję kapelana. Dwudziestoczteroosobowy spływ prowadził prof. medycyny, Witold Sylwanowicz. Od ks. Biskupa Klepacza otrzymałem pozwolenie na odprawienie polowej Mszy św. w niedzielę i święta, a w dni powszednie podczas stałego miejsca pobytu.

W ciągu roku akademickiego moje podstawowe zajęcia nie były zasadniczo zajęciami kapłańskimi. Jedynie codziennie odprawiana Msza św. i modlitwy brewiarzowe przypominały o powołaniu. Chciałem jednak mieć kontakt z duszpasterstwem i dlatego w czasie wakacji czy w okresie wielkanocnym starałem się pomagać w jakiejś parafii. Między innymi pomagałem w parafii Obryte, gdzie jeden z moich bliskich kolegów, ks. Arkadiusz Banecki, pełnił funkcję prefekta. Tamtejszy proboszcz, ks. Aleksander Pierzchała, zawsze mnie tam gościnnie przyjmował. Pomoc była potrzebna, gdyż przez pewien czas obsługiwano także sąsiednią parafię – Zambski. Musiałem także głosić kazania, które początkowo w całości pisałem, chociaż potem nie czytałem ich, lecz starałem się mówić z pamięci.

Byłem chyba na trzecim roku studiów, kiedy w drodze do Żuromina pojechałem w Wielką Środę do Płocka, aby pokazać się ks. Biskupowi i złożyć sprawozdanie ze studiów. Biskupa nie interesowały zbyt moje studia filozoficzne; pytał przede wszystkim o matematykę i fizykę. Tego dnia jednak powiedział mi jeszcze, że ma kłopoty, ponieważ depešował do niego ks. Romuald Bralczyk, proboszcz Radomina, obsługujący także parafię Dulsk, że chyba w jednej parafii będzie musiał odwołać niektóre nabożeństwa wielkotygodniowe. Miał mu pomagać kapelan biskupi, ks. Stefan Zalewski, ale został oddelegowany do innej parafii z powodu śmierci tamtejszego księdza. W tej sytuacji, chociaż nie byłem do tego przygotowany, zdecydowałem się od razu jechać do Radomina. Po różnych perypetiach dotarłem tam w Wielką Środę wieczorem.

Był to okres wprowadzania reformy liturgicznej i trzeba było uczyć się nowego układu nabożeństw Wielkiego Czwartku, Piątku i Soboty. Ustaliliśmy z ks. Romualdem, kto, gdzie i kiedy ma odprawiać (mieliśmy obsłużyć Dulsk i Radomin). Przygotowywałem się wówczas do tych nabożeństw i do głoszenia Słowa Bożego, nie było jednak czasu na pisanie pełnego tekstu kazań i właściwie od tej pory przestałem pisać in extenso to, co miałem głosić, a jedynie notowałem to w punktach. Miałem wtedy naszkicowaną poprawną konstrukcję całości, ale mogłem też wprowadzać pewne modyfikacje już w trakcie mówienia.

Podczas studiów na KUL-u przeżywałem wielotygodniowe okresy zmieniających nastrojów. Bywały tygodnie, kiedy zachwycałem się studiami, poznawaniem nowych problemów i ich rozwiązywaniem, ale potem stawiałem sobie pytanie, dlaczego nie zajmuję się pracą duszpasterską, kapłańską, do której jestem powołany. Tęskniłem do duszpasterstwa i dlatego w okresach wakacji

przyjmowałem różne zastępstwa w parafiach. Pomoc do uporania się z moimi dylematami znalazłem kiedyś w Ewangelii św. Łukasza, którą czytałem pod kątem lepszego poznania tajemnic różańcowych. Uświadomiłem sobie wtedy, że Maryja była realistką, nie uciekała od rzeczywistości myślami i pragnieniami, ale starała się wypełnić doskonale swoje konkretne zadania.

Czytałem kiedyś w brewiarzu, we wstępnych informacjach napisanych jeszcze po łacinie, uwagi na temat wartości Psalmów. Znalazłem je chyba we fragmencie Motu proprio Piusa XII, który pisał, że modlitwa brewiarzowa pomaga w najtrudniejszych sprawach – naszych własnych oraz innych ludzi. I ta świadomość, że mogę przychodzić z pomocą duchową in necessitatibus ożywiła moją modlitwę brewiarzową.

Pod koniec studiów zastanawiałem się nad tym, jaką funkcję chciałbym pełnić pracując w Seminarium. Najczęściej przychodziła mi na myśl funkcja wicerektora. Kiedy jednak taką funkcję rzeczywiście powierzył mi ks. Biskup Jan Wosiński, nie byłem bardzo z niej zadowolony. Miałem wtedy zlecone wykłady na ATK w Warszawie (wybrane zagadnienia z filozofii przyrody dla studentów III i IV roku studiów); zacząłem studiować zaocznie fizykę na Uniwersytecie w Poznaniu, myślałem o habilitacji. Od tej pory postanowiłem nie przedstawiać Panu Bogu w modlitwie konkretnych pragnień, gdyż On je od razu spełnia, a z chwilą realizacji nie okazują się wcale najlepsze. Trzeba zatem wszystko zostawić Panu Bogu; On wie najlepiej, co jest dla nas najkorzystniejsze, do czego najbardziej się nadajemy. Trzeba więc mieć postawę gotowości przyjmowania wszystkiego, do czego powołuje nas Chrystus przez przełożonych.

Pozostał mi nierozwiązany problem, jak godzić i mieścić w czasie wszystkie zlecone mi obowiązki i zadania. Byłem wówczas wicerektorem i wykładowcą w Wyższym Seminarium, wykładowcą na ATK, nauczycielem matematyki w Niższym Seminarium, studentem fizyki w Poznaniu. Próbowałem radzić się ks. Biskupa Wosińskiego i ks. Rektora Molskiego, nie pomogli mi jednak rozwiązać mojego problemu. Musiałem sam decydować. Przede wszystkim postanowiłem zrezygnować ze studiów w Poznaniu; uznałem, że są najmniej konieczne. Ale pozostałe zajęcia także w moim odczuciu przekraczały moje siły. Dobre wypełnianie funkcji wicerektora i wykłady w Seminarium mogły mi zająć czas każdego dnia. A przecież trzeba było znaleźć trochę czasu na odpoczynek, odprężenie. Zbyt napięta struna długo nie wytrzyma i pęka.

Rozmawiałem z ks. Rektorem na ten temat i proponowałem, żeby mi dał jeden dzień wolny od zajęć wicerektorskich (pełniłem też funkcję prefekta studiów). Prosiłem także, by jasno określił, co należy do moich zajęć, gdyż czasem spotykałem się z zarzutem, że nie wypełniam wszystkich moich obowiązków, a czasem że wchodzę w kompetencje rektora. Rozmowa nie przyniosła oczekiwanego rezultatu, wobec tego uprzedziłem ks. Rektora, że w takiej sytuacji nie widzę możliwości dalszej współpracy i poproszę ks. Biskupa o zwolnienie z funkcji wicerektora. Ks. Rektor odradzał mi takie rozwiązanie, jednak po naszej rozmowie złożyłem na piśmie prośbę do ks. Biskupa o zwolnienie mnie z obowiązków wicerektora. Odpis doręczyłem księdzu Rektorowi.

A więc z jednej strony pragnąłem akceptować wszystko, co zlecali mi przełożeni, a z drugiej próbowałem szukać innych rozwiązań.

Po otrzymaniu mojego pisma ks. Biskup wezwał mnie na rozmowę i poradził, abym próbował ustalić dokładniej swoje zadania wicerektorskie z ks. Rektorem i pozostał jednak na zajmowanym stanowisku. Tak też uczyniłem.

W związku z tymi problemami uświadomiłem sobie, że dla poznania swoich zadań nie zawsze należy czekać na natchnienia Ducha Świętego, lecz trzeba także korzystać z własnego rozumu. Bodajże ks. prof. Żychliński, znawca życia wewnętrznego i działania darów Ducha Świętego, napisał, że nie zawsze jesteśmy pewni, czy nasze myśli, pragnienia i wewnętrzne intuicje pochodzą od Ducha Świętego, natomiast jest pewne, że Pan Bóg dał każdemu rozum, którym trzeba się posługiwać, aby poznać swoje obowiązki.

Próbowałem zatem godzić zadania wicerektora z wykładami, a przy tym wygospodarowywać sobie trochę czasu na wytchnienie, na rozmowy z kolegami (biorąc pod uwagę, że przez pięć dni w tygodniu obiady i kolacje jadałem z klerykami), czy nawet na grę w brydża. Po pewnym czasie Rada Wydziału Filozoficznego KUL-u zaproponowała mi prowadzenie wykładów z filozofii przyrody – raz na dwa tygodnie – na czas nieobecności ks. prof. S. Mazierskiego, który miał wyjechać do Belgii, jednak nie wyraziłem na to zgody. Po ośmiu latach zrezygnowałem też ze zleconych wykładów na ATK.

Był taki okres, kiedy miałem 25 godzin zajęć dydaktycznych w Wyższym i Niższym Seminarium, a także wszystkie przerwy zajęte przez interesantów. Poza tym po południu często trzeba było załatwiać pilne sprawy seminaryjne. Brakowało czasu na lekturę osobistą, na przygotowywanie wykładów. Wiele czasu zajmowały częste kolokwia. Od przepracowania czy załamania psychicznego ratowały mnie zaplanowane chwile relaksu. Może właśnie dlatego, że znajdowałem na to czas, mój stały spowiednik wyraził kiedyś obawę, czy największym niebezpieczeństwem w moim życiu duchowym nie jest zbytnia troska o to, aby się nie przemęczać i znajdować czas na sprawy niekoniecznie najważniejsze. Miałem więc okazję, aby się zastanowić, jak to u mnie jest naprawdę, czy w moim sumieniu ta sprawa rzeczywiście jest najbardziej niebezpieczna. Ostatecznie doszedłem jednak do innego wniosku.

Czytałem kiedyś książkę Grahama Greene'a „Sedno sprawy”. Główną jej myślą – w moim odbiorze – była możliwość zaistnienia konfliktu między miłością ludzką, a miłością do Chrystusa. W takiej sytuacji wybranie miłości ludzkiej jest nieporozumieniem, tragedią. Ostatecznie traci się miłość ludzką, a także przekreśla miłość do Chrystusa. A więc sprawa najważniejsza – to umiejętność godzenia miłości ludzkiej, także pięknej i szlachetnej, z miłością do Boga. Miłość do drugiego człowieka powinna pogłębiać naszą przyjaźń z Chrystusem. I tu rysuje się sprawa przyjaźni ludzkiej, która w moim życiu odgrywała i odgrywa wielką rolę. Ona nie tylko godzi się z miłością do Chrystusa, ale pogłębia ją i nadaje jej charakter relacji osobowej.

Czasem żałowałem, że nie mogę – jak niegdyś mieszkańcy Palestyny – porozmawiać z Chrystusem i otrzymać od Niego odpowiedź wyrażoną ludzkim głosem. Często pragnąłem i potrzebowałem szczerze porozmawiać z innymi

osobami o swoich najważniejszych przeżyciach – jednym słowem – pragnąłem prawdziwej przyjaźni. W Piśmie św. znajdujemy zapewnienia, że ci, którzy są blisko Boga, będą mieli przyjaciół na ziemi. Również Arystoteles w swojej „Etyce Nikomachejskiej” pisał, że nie można żyć bez przyjaźni. Jest więc ona jedynym z największych darów, jakie człowiek może otrzymać na ziemi. Takim właśnie darem przyjaźni obdarowywał mnie wielokrotnie i nadal obdarowuje Chrystus.

Jeszcze w Seminarium, bodajże w 1950 roku, czytałem z wielkim zainteresowaniem książkę o św. Franciszku Salezycznym – M. Milera „O radosnym miłowaniu Boga”. Znalazłem w niej fragmenty mówiące o przyjaźni, jaka łączyła Biskupa Genewy z Joanną de Chantal. Tymczasem ojcowie duchowni, kierownicy życia duchowego radzili ostrożność w tej dziedzinie, a książki ascetyczne ostrzegały przed zbytnią otwartością w stosunku do kobiet, gdyż to zbyt często może skończyć się tragicznie w życiu kapłana. Wybór ludzkiej przyjaźni często kończy się dla niego zdradą Chrystusa, a to jest zawsze tragedią i wielką pomyłką dla niego i dla kochanej osoby. Pan Bóg jednak obdarował mnie prawdziwymi przyjaciółmi i pozwolił przeżyć różne stopnie przyjaźni.

Już na pierwszym roku studiów seminaryjnych zrodziła się przyjaźń między mną a kolegą kursowym, Arkadiuszem Baneckim. Zawsze mogłem na niego liczyć i porozmawiać z nim o różnych sprawach, duchowych i społecznych, o realizowaniu powołania. Zawsze był on wobec mnie szczery i otwarty. Miałem także innych przyjaciół: kolegę kursowego, Mirosława Paciuszkiewicza i młodszego studium Andrzeja Kondrackiego. Ojciec duchowny, ks. Dąbrowski akceptował te przyjaźnie. Odwiedzaliśmy się wzajemnie podczas wakacji przebywając po kilka dni w Wyszku, w Żurominie i Rościszewie; spisywaliśmy ważniejsze wydarzenia z naszego życia, rozmawialiśmy o najistotniejszych i najgłębszych sprawach. Przyjaźń z Mirosławem pogłębiła się przez wspólny pobyt na KUL-u; trwała dalej, kiedy razem pracowaliśmy w Seminarium. Dzięki przyjaźni była w nas otwartość i zaufanie do innych, wyzbywaliśmy się pewnego rodzaju nieuzasadnionej podejrzliwości, staliśmy się otwarci na drugiego człowieka, byliśmy gotowi nieść mu pomoc.

Często uświadamiałem sobie, że świętość ludzi w dużej mierze zależy od świętości kapłanów. W związku z tym rozmawialiśmy nieraz z kolegami, szczególnie z Mirosławem Paciuszkiewiczem, jak pomagać kapłanom, kolegom, do zdobywania kapłańskiej doskonałości. Jeszcze w Seminarium zetknęliśmy się z zagadnieniem Instytutów Świeckich, powołanych do życia przez papieża Piusa XII Konstytucją Apostolską „Provida Mater Ecclesia”. Członkowie takich Instytutów, zarówno świeccy jak i duchowni, mają na celu doskonałość chrześcijańską opartą na realizowaniu ślubów posłuszeństwa, ubóstwa i czystości – oraz apostołstwo. Myśleliśmy o utworzeniu takiego Instytutu wśród kapłanów. Jeszcze studiując w Lublinie rozmawiałem o tej sprawie z niektórymi księżmi w Konwikcie. Kiedyś do Lublina przyjechał francuski dominikanin, o. J.-M. Perrin, założyciel Instytutu świeckiego Caritas Christi. Kilku z nas nawiązało z nim kontakt. Pojechaliśmy na spotkanie z nim, aby porozmawiać o sposobach realizowania rad ewangelicznych, których dotyczą śluby. Jeden z kolegów trochę się spóźnił i dojechał na spotkanie taksówką. Od razu powstał problem, czy

jest to zgodne ze ślubem ubóstwa. O. Perrin uznał, że tak, ponieważ ubóstwo nie polega na tym, aby nie mieć pieniędzy, ale żeby je przeznaczać na właściwe, dobre cele. Skorzystanie w tej sytuacji z taksówki było całkowicie właściwe, ponieważ umożliwiło zminimalizowanie spóźnienia.

Na początku lat sześćdziesiątych grupka księży pracujących w Seminarium zbierała się raz w miesiącu u ks. T. Żebrowskiego, by pogłębiać swoje życie duchowe. Do powstania Instytutu jednak nie doszło. Mniej więcej w tym samym czasie spotkałem się w Pelplinie z Ojcem duchownym tamtejszego Seminarium, ks. Jerzym Świnką, który tworzył wśród księży taki Instytut, będący filią zagranicznej wspólnoty Misjonarzy Królestwa Chrystusa. Ks. Świnka dał mi nawet statut tego Instytutu, ale wkrótce nagle zmarł i cała sprawa dla mnie upadła.

Pan Bóg obdarzył mnie jeszcze inną przyjaźnią, tym razem nie z jednym z kolegów, ale z kobietą, którą nazwę tu A. E. Już w rodzinie mojej istniały pewne relacje przyjaźni, ale było to coś innego. Łączyły mnie one np. z moją siostrą Lucyną, z którą mamy wspólne ideały i nieraz rozmawialiśmy o sprawach duchowych, ale mieszka ona zbyt daleko, aż w Makowie Podhalańskim, często jest zajęta ważnymi sprawami i nie ma czasu na szczere, głębokie rozmowy ze mną. Przyjaźń natomiast wymaga czasu; jeśli nie mamy go wzajemnie dla siebie, przyjaźń nie może się rozwinąć i często wygasa. Przyjaźniłem się też z moim najmłodszym bratem, Andrzejem. Mieliśmy do omówienia wiele wspólnych spraw, a jakiś sposób troszczyliśmy się wzajemnie o siebie, dość często przebywaliśmy razem. Nie potrafiłem jednak rozmawiać z nim o sprawach najgłębszych, a on także nie podejmował rozmów o swoich ideałach życiowych.

Nawiązanie przyjaźni z A. E. było dla mnie pewnym zaskoczeniem. Zaczęło się od zwykłej ludzkiej sympatii, kiedy zauważyłem u tej osoby wielką troskliwość o innych i gotowość przychodzenia im z bezinteresowną pomocą. Prowadziliśmy często długie rozmowy na tematy ważne dla obu stron, mówiliśmy o swoich zainteresowaniach, dążeniach i pragnieniach, a także o niepowodzeniach i kłopotach. Stopniowo wzajemna więź coraz bardziej się pogłębiała, ale zawsze najważniejsze było to, żeby nie zdradzić Chrystusa, żeby godzić przyjaźń z miłością do Niego, żeby rozwijały się obydwie relacje. Dzięki temu moja więź z Chrystusem stawała się bardziej osobowa, wolna od formalizmu i nie była dla mnie jakimś narzuconym obowiązkiem.

Jednym z owoców tej przyjaźni było napisanie przeze mnie pierwszej wersji skryptu „Tajemnice istnienia”. Za namową byłego kleryka, Ireneusza Kamińskiego, który prowadzi wydawnictwo w Toruniu, przerobiłem ten skrypt w książkę, którą tak samo zatytułowałem. To tylko jeden mały przykład dobrych skutków wspomnianej przyjaźni.

Podczas mojej ostatniej choroby przyjaźń z A. E. przeszła heroiczną próbę. Choroba rozpoczęła się 18 maja w Płocku, a 21 maja znalazłem się w szpitalu Kasprzaka, na Woli w Warszawie. Nie mogłem chodzić; A. E. sprowadziła karetkę Pogotowia i była ze mną cały dzień na izbie przyjęć. Dzięki jej staraniom wieczorem znalazłem się na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. Przez cały czas mojego pobytu w szpitalu A. E. utrzymywała ścisły kontakt z lekarzami, pielęgniarkami i całą służbą zdrowia. Odwiedzała mnie chyba codziennie. Prawdzi-

wego przyjaciela poznajemy w potrzebie. Troska o moje zdrowie kosztowała A. E. bardzo wiele, ponieważ z powodu stresu i zmęczenia przestała widzieć na jedno oko (od pół roku pozostawała w leczeniu okulistycznym). Modłę się o jej zdrowie i o zdrowie jej najbliższych. Oby częściowa utrata wzroku była tylko chwilowa!

Pięćdziesiąta rocznica moich święceń kapłańskich przypada dokładnie 23 sierpnia 2003 r. Taki jubileusz jest okazją do ponownego przeżycia swego powołania, do refleksji nad nim, do zastanowienia się, jak wyglądało wypełnianie zadań związanych z kapłaństwem. Trzeba też było pomyśleć o odpowiednich tekstach, które mają być wydrukowane na okolicznościowych obrazkach. Przede wszystkim chciałem, aby wyrażały one dziękczynienie i radość z daru powołania, a także żal, że nie zawsze dobrze odpowiadałem na wezwanie Chrystusa, czyli słowa skruchy. Pragnąłem również sformułować jakieś postanowienie, co powinienem czynić w przyszłości, co ma być najważniejsze u schyłku życia. Niektóre pomysły zrodziły się kiedyś podczas koncelebrowanej Mszy św., bodajże nawet w trakcie kazania. Pierwsze słowa, jakie mi się nasunęły, to początek pieśni Jana Kochanowskiego: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary, czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?” Ten właśnie tekst umieściłem u góry na moich jubileuszowych obrazkach. Wyrazem żalu i skruchy z powodu różnych moich zaniedbań miały być słowa pokutnej modlitwy: „Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy...” Mam nadzieję, że Pan Bóg będzie nas karał miłosiernie. Rozważając następnie, co mam dalej czynić, przypomniałem sobie słowa Psalmu 1, który zawsze robił na mnie duże wrażenie. Porównuje on człowieka rozważającego Prawo Boże do drzewa zasadzonego nad płynącą wodą; przynosi ono owoc w odpowiednim czasie. Nawiązując do tego Psalmu umieściłem na obrazkach zdanie: „Kto rozważa Pismo św., ten wyda owoc w swoim czasie”. Na koniec – tak jak na obrazkach prymicyjnych, zacytowałem słowa z Listu do Hebrajczyków: „Oto idę, Boże, abym pełnił wolę Twoją”.

Zastanawiałem się, jakie teraz stoją przede mną konkretne zadania, ponieważ starość nie zwalnia od obowiązków. W Psalmie 92,15 czytamy, że sprawiedliwi „wydadzą owoc nawet i w starości”. Jaki ma to być owoc? Ze starością związane są zazwyczaj dolegliwości, bóle, cierpienia. A więc jednym z owoców duchowych może być dar cierpienia ofiarowanego Bogu za innych. Przez to apostołujemy i w tajemniczy, lecz rzeczywisty sposób wpływamy na innych. Pragnę jak najściślej łączyć swoje cierpienia z cierpieniami Chrystusa.

W kwietniu bieżącego roku, zaraz po Wielkanocy, odprawiłem wspólnie z księżmi obchodzącymi właśnie trzydziestolecie kapłaństwa trzydniowe rekolekcje – w Ciechocinku, u sióstr Honoratek, przy ul. Warzelnianej 5. W ciągu tych trzydziestu lat co roku mieliśmy takie spotkania, na których zazwyczaj głośiłem homilię, a także konferencję ascetyczną, ponieważ w Seminarium byłem opiekunem tego rocznika. Zachęcałem uczestników do dyskusji, do refleksji nad usłyszonym słowem. W tym roku codziennie głośiłem tylko jedną naukę, każdy z uczestników prowadził kolejne rozważania. Wydaje się, że rekolekcje te były udane. W prezencie od uczestników rekolekcji dostałem piękną metaloplastykę przedstawiającą Ostatnią Wieczerzę. Przyszło mi wtedy na myśl, że coś się w moim życiu kończy, ale czekają mnie jeszcze wydarzenia połączone z cierpie-

niem, jak Chrystusa po Ostatniej Wieczerzy. Wydarzenie to przypomina także obowiązek służenia innym (umywanie nóg apostołom), jeśli chcemy być przyjaciółmi Chrystusa; także myśleć też o Ogrójcu i Kalwarii.

Kilka miesięcy temu, w pewnym momencie przyszło mi na myśl, że mógłbym trochę pocierpieć, ażeby przez to Ojciec Święty poczuł się lepiej. Od razu jednak wyakcentowałem w myśli „trochę”, jak gdybym bał się poważnego cierpienia. I oto przyszło ono do mnie w 83. rocznicę urodzin Jana Pawła II i w 74. rocznicę moich urodzin, bo obaj urodziliśmy się 18 maja, tylko w różnych latach. Tego dnia zacząłem stopniowo tracić władzę w nogach; szczególnie prawa noga stała się zupełnie sztywna. Po raz pierwszy znalazłem się w szpitalu jako pacjent. Co innego jest przebywać z osobami cierpiącymi i współczuć im, a co innego samemu cierpieć. Cierpienie osobiste sprawia, że człowiek może stać się inny, bardziej nastawiony na niesienie pomocy słabym, chorym, grzesznym. Budzą się wtedy wyrzuty sumienia, że nie zawsze wykorzystywało się dobrze dar czasu. Zmarnowany czas będzie naszym oskarżycielem. Budzi się żal, że modlitwy brewiarzowe traktowało się czasem zbyt formalnie, że odmawiało się je pośpiesznie.

Pierwsze dni mojego pobytu w szpitalu, a właściwie nawet wiele dni przeżywałem dość swoiście. Poczucie całkowitej zależności od innych pozwalało mi lepiej zrozumieć naszą zależność od Boga. Z jednej strony postanowiłem, że będę bardziej pobożnie odmawiać brewiarz, a z drugiej strony ogarniało mnie jakieś zobojętnienie. Początkowo nie mogłem w ogóle odmawiać Liturgii Godzin, dopiero po pewnym czasie otrzymałem brewiarz dla świeckich i wtedy czytane teksty zaczęły mocno przykuwać moją uwagę, zmuszały do głębszej refleksji.

Byłem wyrwany z normalnego życia, prawie zupełnie unieruchomiony. Nie mogłem przewrócić się z boku na bok. Wszystko zależało od troskliwości pielęgniarek, od salowego czy salowej. Ciągłe badania, zastrzyki i kroplówki do tego stopnia powiększały moje poczucie bezsilności, że przez trzy niedziele nie uczestniczyłem we Mszy św., nie odmawiałem brewiarza, a nawet nie zawsze udało mi się odmówić wszystkie tajemnice różańca. Trzecia niedziela mojej choroby była świętem Zesłania Ducha Świętego (08.06), ale nieświadomy tej uroczystości nawet wtedy nie uczestniczyłem we Mszy św. Wprawdzie codziennie przychodził kapelan, przyjmowałem Komunię św., przystąpiłem do sakramentu Pokuty, ale to nie mogło zastąpić mi Mszy św. Okazało się później, że przy większej aktywności mógłbym być w kaplicy szpitalnej, gdzie codziennie była odprawiana Msza św. Trzeba było tylko znaleźć kogoś, na przykład życzliwego i mającego czas pielęgniarski, który posadziłby mnie na wózek i zawiózł do kaplicy.

W poniedziałek po Zesłaniu Ducha Świętego, w dzień Matki Bożej, Matki Kościoła, ks. kapelan nie tylko zachęcił mnie, abym udał się na Mszę św., ale słusznie skrytykował mnie, że nie starałem się dotychczas korzystać z takiej możliwości. Szkoda, że nie uświadomiłem sobie tego wcześniej! Dowiedziałem się też, że mogłem nawet koncelebrować Mszę św. w kaplicy, ponieważ ręce przez cały czas miałem sprawne i umysł pracował normalnie. Skorzystałem zatem tego dnia z odwiedzin bratanka i jego żony; poprosiłem ich, by posadzili mnie na wózek i zawięzli windą do kaplicy. Były tam wtedy także inne bliskie mi osoby. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zachorowałem, nie tylko uczestniczyłem

we Mszy św., lecz także koncelebrowałem ją siedząc na wózku. Przeżywałem tego dnia wielką radość; wdzięczny byłem za to Panu Bogu i Matce Bożej. Od tej pory codziennie odprawiałem w podobny sposób Mszę św., a po przyjeździe do Żuromina – 18 czerwca – każdego dnia, poczawszy od Bożego Ciała, odprawiam Mszę św. w domu. Wszystko, co jest do niej potrzebne, przywiózł mi z Płocka ks. Witold Karpiński, prokurator seminaryjny.

Zbliża się dzień pięćdziesiątej rocznicy moich święceń. Bardzo chciałbym odzyskać siły i przynajmniej 11 października wraz z kolegami kursowymi uczestniczyć w Płocku w tym złotym jubileuszu. Czy będzie to możliwe? Nie wiem. Może Pan Bóg nie zechce, bym w taki sposób przeżył swoje pięćdziesięciolecie? Wszystko w Jego rękach; oddaję się Jemu do dyspozycji. Mam świadomość, że w tej chwili najważniejszą sprawą jest łączenie moich dolegliwości i cierpień z cierpieniami Chrystusa. W ten sposób mogę teraz pełnić swoje zadania kapłańskie. Możliwe, że czeka mnie jeszcze operacja chirurgiczna, ponieważ pewne dolegliwości codziennie dają o sobie znać i utrudniają rehabilitację.

Mam nadzieję, że kiedy łączę swoją trudną sytuację z cierpieniami Chrystusa, to w jakiś sposób pomagam innym, szczególnie bliskim mi osobom, w rozwiązywaniu trudnych spraw życiowych.

Niełatwo jednak realizować wielkie pragnienia dotyczące zadań związanych z kapłaństwem. Czasami chciałoby się powiedzieć: „Jeśli to możliwe, oddal Boże ode mnie ten kielich”. Wiem jednak, że istota Chrystusowego kapłaństwa – to dobrowolne ofiarowanie siebie za innych. I tu widzę, jak kapłaństwo służebne, hierarchiczne, łączy się z kapłaństwem powszechnym. Taką misję podejmują na pewno także moi najbliżsi, którzy nie otrzymali święceń kapłańskich.